WINNICA



Nr. 4

2 zł.

WINNICA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY

POŚWIĘCONY KOBIECIE W ŻYCIU, SZTUCE I ANEGDOCIE

ZESZYT 4 ROK I

NAKŁADEM TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO „ATENEUM“

ODBITO W DRUKARNI L. S. T. W., LWÓW, UL. LEONA SAPIEHY 77.

W I O S N A

Dziś w nocy damy sobie rendez-vous
Na dachu.
Na zielonym dachu
W ostrym cieniu trzeciego z brzegu komina.
Pojękiem umknie w strachu
Druga godzina —
Aa — szach — czach
Prosto z dusznego snu
Przez okno hycniemy na dach.
Prześliźniemy się, przewiniemy się,
Ty i ja,
Po śliskim dachu w lot,
W zielonym blasku czarna błyskawica —
— Przykucniemy.
Ja będę duży czarny kot.
Ty będziesz czarna kocica.
W czarnym ostrym cieniu od księżyca
Dwie czarne, miękkie, nieruchome plamy.
Poczwórne ślepia wyłupiaste.
Wytrzeszczone, fosforyczne oczy —
Przykucamy —
— Nagle się komin zatoczy,
Do bieli się rozpalą księżyczące blachy,
Aa — sparzy stopy — buchnie dachu stok
Żarem — skok!!
Rozbiegnie się ponad dachy,
Rozwydrzy się w śliski blask,
Szorstki, chropowaty i wściekły
Schrypły i we krwi krustach zapiekły
Nasz wrzask!!!

MARJAN HEMAR



Napisał

STANISŁAW WASYLEWSKI

Istnieje pewien utarty komunał, który wszędzie indziej ma rację bytu, tylko nie u nas. Komunał ten brzmi: Kobieta jest taką, jaką ją chce mieć mężczyzna.

Istotnie jest tak na świecie, ale — nie w Polsce!

Czech postanowił sobie, że jego „sleczna“, gdy zostanie panią, będzie cichutko myła garnki w kuchni i smażyła knedle i — osiągnął to w całej pełni.

Niemiec nauczył kobietę pokornego wyszywania wodnym ściegiem „Guten Morgen“ na ręcznikach.

Moskal umiał doskonale okiełznać ogromny, czarnomorski temperament rosyjskiej kobiety i trzymał ją tak długo, jak dało się w „tiurmie“.

Zaś Polak już od czasów przedhistorycznych to najgrzeczniejszy z rycerzy. Pani jego była zazwyczaj taką — jaką sama być chciała. Dawał jej wolność i przywileje, do których darmo tęskniłaby gdzieindziej.

Wspaniałomyślnie, czasem nawet lekkomyślnie pozwalał niewieście swej wiele. Rządziła się jak szara gęś, prowadziła zaciętą walkę z mężczyzną, o zdobycie dominującego stanowiska w domu, w rodzinie, nawet w państwie.



ALICJA HALICKA RYSUNEK

Wiodła wojnę ową ze zmiennem szczęściem, ze znakomitą w każdym calu niekonsekwencją, kaprysem i uporem.

Rycerz zaś wcale tego nie żałował. W każdym razie zyskał w niej ruchliwą współpracownicę.

Przedziwna jasnowłosa żywość duszy kobiecej w Polsce niejednokrotnie przysłużyła się rozwojowi kultury, umiała przyspieszyć jej tempo, umiała czasem nawet, ściągnąć na nią duże korzyści.

Kobieta w Polsce korzystała zawsze pilnie z każdego zamieszania, z przewrotu, wojny czy reformy politycznej, aby tylko umocnić swe stanowisko, rozszerzyć stan posiadania, zrealizować swoje ukryte, licho wie, jakie cele, nareszcie powiększyć sumę swej władzy nad mężczyzną i — w tłoku tworzących się nowych stosunków — usiąść wcześnie na mocnym, nowym foteliku.

Bronią i towarzyszem w tej walce kobiety był zawsze jakiś szczególny, w każdej epoce inny — urok, jakiś środeczek, czasem dużo środeczków, których używszy w chwili niezawodnej, tupnęła mocno nóżką i rzekła:

— Tak jest i niema o czem mówić.

I tak było i nie mówiło się więcej o tem. Chociaż czasem tupanie nóżką trwało dość długo. Pierwszy raz tupnęła jeszcze w czasach wspólnoty słowiańskiej i rzekła:

— Moi drodzy! Będę dalej przepowiadała przyszłość, wojnę, mór, będę rzucać uroki na wroga, ale wcale nie chcę palić się żywcem na stosie, tylko dlatego, bo tam płonie trup mego zmarłego męża. Nie jest to ani przyjemne, ani konieczne.

I ten rycerz prapiastowski, okutany w barani kożuch, z drewnianą tarczą, posłuchał życzenia i chociaż godziło to wprost w rytuał religijny, groziło pomstą Światowidów — przestał, o zgrozo, palić kobiety na stosie.

Drugi raz zbuntowała się białogłowa w kilka wieków później, już jako zakonnica w klasztorze, poddana woli srogiego opata. Powiedziała, że nie będzie się modliła z niezrozumiałego dla niej psałterza łacińskiego, i że chce na równi z mężczyzną śpiewać. I chociaż to znowu były postulaty arcytrudne do spełnienia i wprost rewolucyjne, wywalczyła je.

Z tego zwycięstwa zaś odniosła korzyść cała kultura polska. Bo od psałterzy i modlitewników, z trudem na polskie przekładanych dla zakonnic i królowych, rozpoczęła się literatura polska, a jej pierwszą orędowniczką była istota, którą zamknięto.

Kobieta polska wieku XIII okazała imponującą siłę żywotną, a z poza krat klasztornych przenikało na świat piękno jej duchowego uroku, piękno, które szerokiemi falami rozlewało się po dzikiej jeszcze Polsce.

W tej walce zaś przyszedł jej w pomoc sojusznik dziwny i niespodziany: urok bojaźni i strachu jaki naokół siebie szerzyła.

Oświecony światłem wiary i kultury mężczyzna zaczął się odnosić do kobiety bardzo nieufnie i miał się zawsze na baczności. Św. Augustyn uczył człowieka średniowiecznego, że kobieta jest ośrodkiem duszy. Ojcowie kościoła objaśniali, że walka z kobietą jest nieomal konieczną dla zbawienia duszy.

W wiekach średnich żyli ludzie w atmosferze nieustannego strachu — w ciągłem oczekiwaniu sądu ostatecznego — w panicznej obawie przed szatanem.

Cóż tedy robić?

Nie namyślali się długo.

Zamknięto kobietę w murach klasztoru, odosobniono ją w fraucymerze obronnego zamku. Pozbawiono wszelkich praw, nawet prawa dziedziczenia spadku po rodzinach. Jak zresztą w całej Europie. Przez długie dziesiątki lat miała odtąd nieszczęśnica trwać w przymusowej niewoli habitu lub wrzeciona.

Ale nie dała wcale za wygraną. Zrazu zamknęła się obrażona w swoim fraucymerze, przędła kądziel i haftowała ornaty i stuły. A gdy się jej znudziło, gdy spostrzegła, że tej kądzieli jest dosyć i na długo wystarczy, że wszystkie kościoły i parafje już są dostatecznie zaopatrzone, wtedy zrywała się znowu do walki.

Zachciewało jej się czasem rzeczy niemożliwych. Można pojąć np. jak bardzo przeraził się tłum uczonych humanistów z 16 wieku, gdy białogłowy małopolskie nagle zażądały dopuszczenia ich do udziału w życiu publicznem i prawa wybieralności do Sejmu i na sejmiki. I trudno się dziwić, że w tej ciężkiej opresji postanowiono posłuchać starej rady ducha świętego. Imć Bartosz Paprocki w księdze pt. „Dziesięcioro małżeńskiego przykazania“, zalecał: „złą żonę związawszy w kominie miasto szynki umieścić, sadłem wysmarować i takowe nieco kijem wycierać!“

Lecz już na te metody było zapóźno.

W obronie kobiety stanął nowy jej urok, urok czaru i władzy, jaką zaczęła sprawować nad mężczyzną. Polak z epoki Jagiellonów postawił swoją białogłowę na piedestale. Zrównał ją z sobą wspaniałomyślnie i aż tak raczył pisać w listach: „Klejnocie drogi a wdzięczny“, „luby a miły, mojej personie równy towarzyszu!“ dopuścił do uczestnictwa w biesiadach.

Stała mu się prawie tak drogą, jak strzelba i jak koń.

Z uszanowaniem oraz atencją stawał, nie wchodząc do wnętrza na stopniu kolasy, w której jechała jego pani, a ponieważ nie używał jeszcze rękawiczek, więc gdy miał tańczyć lub witał się, ujmował białą rączkę damy — przez czapkę.

A ona skryta w tłumie fraucymeru przędła kądziel i haftowata ornaty, stuły, komże. Dość długo — prawie przez dwieście lat!

A potem znowu tupnęła nóżką, już teraz bardzo mocno i zażądała już teraz bardzo wiele:

— Chcę żyć!

Chcę władać, światem, życiem i polityką!

Chcę trzymać rękę na pulsie piękna i miłości, chcę was uczyć, chcę sama nie wiem czego, ale w każdym razie o wiele więcej, niż mi możecie pozwolić!

I stało się tak, jak przed wiekami opisywał Al-Beksi, arabski podróżnik. Świat kultury stanisławowskiej został grodem niewiast, królestwem białogłowy. Jedyna epoka, w której kobiecie polskiej dano do rąk ster.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

W dzisiejszej budowie społecznej piękna pani wzięła sobie sama zupełną i niewątpliwą suwerenność.

Jest wolną i niepodległą. Niema władzy na świecie, która byłaby w stanie naruszyć jej przywileje.

Czy tupie nóżką, czy czego żąda?

Nie, bo już nic do żądania nie zostało.



MIASTO-BEZ-NOCY



Pewien Anglik, kryjący się za maską anonimu, wydał w Jokohamie publikację prywatną p. t. „*The Nigtless City*“, skąd czerpiemy opis święta kwiatów wiśni, nie w okrzyczanych po Europie herbaciarniach wśród gejsz, ale w prawdziwym „*kaszi zasziki*“, japońskim domu publicznym.

Jako ilustrację podajemy drzeworyt Harunobu, pierwszego Japończyka, który wydźwignął się z prymitywu na wyżynę wykwintnej elegancji — dzięki rysowaniu kobiet z epoki japońskiego rokoko, a następnie drzeworyty wielkich: Utamaro i Hokusai.

Jest już wiosna, wieczory stają się cieplejsze. Po parkach i alejach Tokja drzewa okrywają się płaszczem różowego śniegu, całem listowiem białem, odbijającem od ciemnej zieleni sosen i bambusów. Kwitną wiśnie i śliwy. Japończyk wysila się, aby drzewo miało jak najwięcej kwiatów przez krótki czas choćby, nie dbając o owoce. Widać więc wzdłuż ulic wiśnie, po ogrodach czerwone i białe śliwy, bez liści, ale zato zasypane okiścią kwiatów pnących się ku błękitnemu niebu, a za jakich najdalej dni dziesięć północno-zachodni wiatr wymiecie dziewiczą szatę japońskiego snu.

W dzielnicy miłości jest święto. Jak cała przyroda, tak i Josziwara od-

świeża się niecierpliwie na przyjęcie zdawna oczekiwanych gości. Fasady domów rozkoszy lakieruje się na jasne barwy: niebieską i czerwoną.

Klatki, w których wystawia się na pokaz najpiękniejsze *dżoro* (dziewczęta publiczne), dostają nowe kraty z laki i złota, a białe kwiecie opada na jeszcze bielsze od szminki twarze dziewcząt.

Lud Tokja idzie tego wieczora tłumnie do Josziwary z sercem pełnem tej wiosny, która rozpościera nad głowami szatę z różowego i lazurowego atłasu.

W czasie powszechnej radości lud jest pobłażliwy. Gdy o zmroku ktoś idzie mocno niezwyczajnie i niezwykle głośno krzyczy, mówi się usprawiedliwiająco: „Widać, że dziś w Josziwarze wiśnie kwitną...“

Tłum śpieszący do dzielnicy rozkoszy jest cichy. Idzie jak przez sen, mówi szeptem przy akompanjamencie całej orkiestry różnorodnych zgrzytań sandałów; krrrin-krrrun-krrrin-krrrun zgrzytają drewniane „geta“ na piasku drogi.

U wejścia na wysokopiennych bambusach wiszą flagi i duże latarnie o szybach z przeświecającego jedwabiu. Co krok uderza oczy przechodnia nadmiar jedwabnych latarń w czarnej lakowej oprawie; między tysiącami kwitnących gałęzi igrają światła latarń i jaskrawe szaty dziewcząt, wystawionych na sprzedaż.

Wielkie i małe latarnie, we wszystkich kolorach, we wszystkich odmianach: od różowego krajobrazu z seledynową rzeką po gamę arcypalących farb okazując na fasadzie szyld właściciela domu dziewcząt, głoszą zgrabnemi, jak tancerki literami japońskiemi, starą sławę domu, piękność dziewcząt i szczęście, które tu dla gościa zakwita albo na krótką godzinę, albo na całą noc. Niektóre malowidła latarniane, starodawne jak Josziwara, może zastawione tu przez jakiegoś Hokusai albo Utamaro w chwili braku gotówki, spoglądają na uboższe siostry piastowane, w ręku służących, albo co gorsza: na „meloniki“ europejskie na głowach gości, lub na nagi blask lamp elektrycznych o boleśnie krzykliwem świetle.

Mleczna poświata cedzi się przez matowe okna z naoliwionego papieru. Poprzez nie przemykają się cienie wysokich fryzur dziewcząt, które przygotowują się na długie godziny „wystawy“ w klatkach. Od dwóch godzin robią kurtyzany toaletę. Artystki fryzjerki z pomocnicami układają im włosy w najpiękniejsze formy wedle wszelkich przepisów sztuki. Dżoro wyciągają swe najpiękniejsze grzebienie szyldkretowe, najdłuższe, najwspanialsze szpilki. Brwi poczerniły dokładnie pędzelkiem. Biały krem już wysechł, a troszkę złotej czerwieni na dolnej wardze zamienia usta na mały i świeży pączek goździka.

Na rozkaz *jarite*, ochmistrzyni lupanaru, prawej ręki właściciela „*kicuwa*“, wyciąga się z skarbca domu najpiękniejsze szaty, ozdobione haftowanemi girlandami i ptakami, aby dziewczęta były gotowe w chwili, gdy dzwon są-

siedniej świątyni zacznie zwoływać buddyjskich mnichów do odczytywania nocnej sutry o „godzinie koguta“. Służba idzie do pracy, a *musme* (panienki) w galowym stroju, milczące, do klatek.

Siedzą tam w pięć, dziesięć, a nawet dwadzieścia. Albo nieruchome, jak figurki woskowe w strojach wróżek z bajki grają w *go* (rodzaj warcabów), albo palą fajeczki, ukręciwszy między palcami gałkę tytoniu i krótkiemi poruszeniami wachlując się, prowadzą niewinne rozmowy. Jedna klęczy w środku klatki przed dużą kartką papieru, koniec długiego pendzla trzymając w zębach: namyśla się. Inna klęczy przy fajerce i między palcami odwija list: litery skocznie idą gęsiego. Długi list od przyjaciółki albo od kochanka. Za złoconemi prętami zdają się nie troszczyć o tłum, który idzie lub przystaje, ale w sercu puka tysiąc nadzieji przypadkowego spotkania i tysiąc życzeń, żeby tej nocy spełniły się marzenia. Oczy blisko siebie leżące patrzą badawczo na japońskie płaszcze i zagraniczne garnitury.

Świeżo z prowincji przybyłe dziewczęta kupią się w tyle klatki, onieśmielone zanadto taksującym wzrokiem przystających klijentów. Pewien lęk odróżnia je od starszych, które znają się na handlu i dlatego stępiały. A przecież ta najstarsza niema dwudziestu sześciu lat! Wszystkie wyglądają młodo i pięknie na tle dekoracji klatki, harmonizujących z szatami z starego brokatu o żywych barwach. Czas nie miał mocy, aby jedwab zbladł lub wytarł się. Na parawanie tworzącym kulisy klatki wymalowano widok na ogródek z rzadkiemi krzewami i kwiatami, zamieszkały przez fantastyczne zwierzęta. W sąsiedniej natomiast wystawie szaty dziewcząt są jaśniejsze, o barwie subtelniejszej. Dżoro wyciągnęły się przed parawanem o lekko wycieniowanych barwach, jak anioły buddyjskiego raju.

Jakiś student przystanął. Ma czapkę, jak bursz niemiecki i jest bardzo dumny. Mówi coś z odźwiernym. Ale widać ma zbyt lekką kieskę: z całą pewnością siebie rzuca między pręty klatki... wierszyk miłosny.

Oto zatrzymał się młody kupiec w miękkim kapeluszu, wyglądający w stroju japońskim, jak dziewczyna. Z jakąś musme parę minut gawędził. Zza rogu wynurza się robotnik, mający na ciasnej, niebieskiej bluzie znak swego związku zawodowego, niebieskie spodnie opinają mu nogi i biodra. Gdy nadszedł, dziewczyna podbiegła, pochyliła się, jak mogła ku niemu, przyciskając skroń do kraty, a oczy ze wzruszenia jeszcze więcej zbiegłe pokazują, że słucha z pełnem napięciem wieści o rodzinie, może o narzeczonym, który ją porzucił, gdy bieda ją tu sprzedała.

Bez wrażenia przechodzi tłum koło takich małych dramatów. Japończyk z natury mówi szeptem, a tony *szamisen* nie dochodzą ulicy. Tylko czasem wołanie odźwiernych: *iraszai! iraszai!* (proszę wejść!) przerywają kłapanie sandałów.

Nieco dalej widać całą rodzinę z dziećmi na ręku, która więcej podziwia przepych kwiatów i barw niż błękitne, zielone, czerwone i różowe ptaki, które spoczywają za złotemi kratami klatek. Spotykać można i służące z narzeczonymi.

Dziś *dżoro* spotyka w zetknięciu się z ludem koloryt lokalny i zwyczajowy swego rodzinnego miasteczka. A te niższe klasy widzą w prostytutce tylko swą siostrę niedoli na tym nędznym świecie, ba, raczej świętą, którą wbrew jej woli ofiarowano dla nietykalności rodziny. T. zw. cnotliwe kobiety idą do Josziwary, podobnie, jak ich siostry europejskie do kabaretów, których artystki napewno nie są moralniejsze od dżoro japońskich, zato dziewczęta płatne nigdy nie okazują się tak nagie. Smak nakazuje, aby nie pokazywać się w akcie. Długie suknie, bez żadnego dekoltu, jako nakaz nie religji, nie etyki, czy — policji, ale jako przykazanie artystyczne.

W „mieście bez nocy“ lud ogląda kurtyzany w całym blasku ozdób i urody, ale matki i córki znają dobrze nocne potoki łez, które od trzystu lat, tak bowiem dawno istnieje Josziwara, skrapiają lakowe podkładki głów (Japonki kładą do snu głowy na stołkach, aby nie zepsuć fryzury).

Pewien Europejczyk stanął przed klatką i zdecydował się wejść przez szerokie, otwarte drzwi domu dziewcząt, co go będzie kosztować 3 do 15 jenów.

Ledwo przestąpił próg, kucnęły u jego nóg stare, mniej więcej bezzębne sługi i ściągnęły mu, nie pytając się o pozwolenie, trzewiki z nóg, wszak zabrukałby delikatne, nienaganne maty, na których musme roztaczają harmonijne fałdy swych kimon. Dano mu sandały słomiane, które co krok spadają mu z nóg, a teraz prowadzą go na pierwsze piętro. Wielkie schody są oświetlone latarniami i lampami elektrycznemi, otulonemi jedwabiem. Na prawo i na lewo stoją otworem zasuwy, a on patrzy badawczo do wnętrz, wyciągniętych w jednym rzędzie. Tu jest pokoik ubieralny bez mebli, ale z wanną. Tu elegancka jadalnia, w której siedzi kurtyzana z dostojnym gościem poufale w cieniu latarni, owiniętej jedwabiem.

Obcy niema prawa zatrzymać się: prędko wiodą go na pierwsze piętro. Przebrzmiał gwar ulicy, a z góry werandy może napawać się czarem nocy wiosennej, który spada na ogród, już wyglądający letnio, albo oglądać sztucznie skarlałe drzewka, które rosną między sztucznemi skałami, przeciętemi sztucznym wodospadem z zielonego piasku. Z trudem ukląkł i usiadł arcyniezgrabnie na piętach, zostawiony sam na sam ze starą *jarite*, emerytowaną kurtyzaną. *Jarite* wymienia mu ceny, bardzo grzecznie odpowiada mu na uwagi i próbuje odgadnąć jego życzenia. A przytem korzysta ze sposobności, aby zestawić fizyczny i moralny rysopis gościa, który spisze na formularzu, żeby rano oddać, wedle przepisu, funkcjonarjuszowi policji.



Musme wyszły z klatki i bez porządku biegną na piętro, łącząc dziecinne wołania z kłapaniem drewnianych sandałów.

Weszły. Gość siedzi między dwiema staremi służącemi, które kucają obok niego i patrzy na defilujące przed nim dumne cesarzowe piękności, które patrzą poważnie w dal, nie zwracając uwagi na niego, rzekłbyś, wcielenie słynnych *dżoro*, które natchnęły starych japońskich malarzy do najfantastyczniejszych obrazów.

Wymieniają mu nazwy: czcigodna panna Śliwa, panna Bambus, Potok Pereł, Lekki Motylek, Wieś Kwiatów, Las Wiśni, Mała Wiosna (mówi po angielsku, ale jest zajęta na całą noc... może pan zamówi ją na następną noc?).

Europejczyk wybrał, jedno słowo wystarczyło innym *dżoro* do „honorowego odwrotu". Nim gość mógł ochłonąć z wrażeń, dano mu do zrozumienia, że dla niego i dla jego wybranej nadeszła chwila „zaszczytnego przebrania się". Dostał się więc w ręce zwinnych, młodych, tym razem bardzo młodych służących, które prowadzą go do jego pokoju. Są to nowe terminatorki miłości. Młode te dziewczęta wśród tysiąca życzeń i wyszukanych grzeczności rozbierają go zupełnie. Badają go usilnie przez skośne, blisko stojące szparki oczu. Gdybyś ty gościu rozumiał po japońsku! „Jaką ten barbarzyniec ma kudłatą gębę, jaki on obrzydliwie wielki i kosmaty!", A, „barbarzyniec" ma krótko strzyżony wąsik.

Potem i dla hygjeny i dla zbadania, czy owłosienie ciała nie jest przyklejone, stawiają przed nim ogromną miednicę prawie kipiącej wody. Lecz on wzdryga się tkwić tak i myć się wśród niesłychanie grzecznych młodych dziewcząt. Przynoszą blado-niebieskie albo seledynowe kimono, pomalowane w obłoki czy fale, istną szatę miłości. Lekko otwiera się, tak szeroko, jak chcesz, a szerokie rękawy ledwo trzymają się na ramionach.

Potem można wyciągnąć się na macie.

Wybrana piękność zjawia się znowu. Zbliża się pełną wdzięku, usiada szybko na ziemi i sporządza bardzo smaczną mieszaninę migdałów i owoców, a traktując gościa, podaje mu papieros zapalony przez siebie, wreszcie z powolną troskliwością przygotowuje podparcie pod głowy.

A po godzinie idzie *dżoro* do kąpieli, zakładając karteczki czarodziejskiego papieru za pas lub za zęby.

Arcygrzeczna musme uśmiecha się ciągle. Gniewa się tylko w tedy, gdy gość brutalnie lub wprost bez wychowania próbuje pomierzwić dumną budowę jej fryzury, owoc wielkiego trudu całego popołudnia.

Następuje odpoczynek, na który sprowadza niezatrudnione przyjaciółki, rozmawia, pali fajeczkę, albo pisze długi, bardzo obfity list, jak może najkaligraficzniejszy, nierzadko wierszami. Wierszyk ten dostaniesz na pożegnanie.

Dopóki gość jest w takim domu, nie usłyszy w jego gościnnych progach ani słowa pospolitego, sprośnego, nie ujrzy grubego a wyuzdanego giestu. A dziewczyna gdy rozmawia, zauważy to łacno, używa zwrotów milszych i subtelniejszych, niż inni ludzie. Wszystko tu jest grzeczne, smaczne i delikatne, jakgdybyś spędzał noc w pałacu dyplomaty.

Nadchodzi drzemka, wykołysana urywanemi akordami molowymi, które pobrzmiewają przez cały ogród ze strun gitary *biwa* i stukaniem drewnianych kłapaczek w ręku stróża nocnego.

Rano zbudził się Europejczyk i ujrzał przez odsuniętą ścianę ogród i mógł przypuszczać, że to, jak śpiewa poeta japoński: „kwitnący poranek szczęśliwego dnia starych czasów".

Wstał, a dwie młode służące ubrały go z różnemi ceremonjami. To jest chwila „*szadai*„, „datku na tytoń", który w Japonji daje się owinięty w kwiat i poezję.

W gronie całej wolnej służby odprowadziła go musme, aż do progu uśmiechając się.

Jak nieskończoną jest ilość najlżejszych odcieni uśmiechania się japońskiego. Gdyś ją wybrał, uśmiechnęła się tak tajemniczo, jak szlachetni samuraje w teatrze przed harakiri. Zdawało się, że mówi:

— Może nie jestem tak piękną, jak myślisz, może nie będą tak grzeczna i miła, jakbyś sobie życzył. Może wydam ci się głupią i bezduszną, bo ciebie nie znam i niepodobnam do kobiet twego kraju. Ale uczynię, co tylko będę mogła.

Gdy w nocy twe zachowanie uraziło jej wstyd i delikatność, uśmiechnęła się znowu, jakby szepcząc:

— Jesteś bezsprzecznie prostacki i brutalny, ponieważ nie znasz form dobrego wychowania naszego kraju. Jestem tu na to, aby ci się podobać, niewolnica twych życzeń. Męczysz mnie, ale nie powinieneś odczuć tego, bo wziąłeś mnie, aby być szczęśliwym. Gdybyś dorozumiał się, jaką mi zgotowałeś przykrość, popsulibyśmy sobie nasz wieczór.

A jeżeli nie będziesz na odchodnem tak hojnym, żebym mogła wyrównać swój dług u gospodarza i jeżeli nie będę mogła wykupić swego ciała, to i tak przyjaźnie rzucę ci się do nóg i jeszcze w chwili *soronaja* (pożegnania) będę się uśmiechała. Mój półuśmiech powie ci: Nie chcę, abyś wyczytał moje myśli, że twój brak hojności może dotknąć tę, która starała się jaknajusilniej przypodobać się tobie. Mógłbyś na parę okamgnień z żalem pomyśleć, że byłbyś bogatszym, żeś mi wyświadczył nieskończenie wielką usługę, ogromną, jak morze, mianowicie, żeś mnie oddał rodzinie i mógłbyś mieć straszne przeświadczenie, że zostawiłeś mnie tutaj. Proszę cię, nie myśl tak, przecież widzisz, jak się uśmiecham. Soronaja! Do widzenia! Tak, do widzenia!

Na dworze światło dzienne, ulica jest spokojna i pełna miłej woni. Idą ludzie, nieliczni: dostawcy, służba, jacyś lekarze do szpitala. Przekupień uliczny szuka już tak rano klijenteli.

Wiatr bawi się gałęźmi drzew — drzew, „które każą nam smucić się znikomością“, a ty idziesz do Wielkiej Bramy nająć *dżinrikszę*.

Wedle legendy „wierzby płaczące mówią głosem do każdego Japończyka“. W XVIII w. cudowne drzewo z Mukodżima przemawiało do zapłakanych matek i narzeczenych głosem opłakiwanych. — A wierzba płacząca u Wielkiej Bramy Josziwary mruczy ci do ucha w poigrach wiatru głosem kurtyzany:

Myślę o tobie,
Ciągle deszcz pada,
Na świętym Fudżi,
Mocno wichr bije.

Ciągle i mocno
Jak myśli moje
O tobie, drogi.

Przełożył

M. Nowina



Kobieta z wosku

Napisał

HENRYK ZBIERZCHOWSKI

Pancewicz zakochał się w lalce woskowej. Dziwne były dzieje tej miłości, a jej tajemniczy i niesamowity pierwiastek przypominał cokolwiek opowieści Amadeusza Hofmana. A było to tak. Pancewicz wracał raz późną nocą do domu po wielce „winnej“ kolacji. Nie był piany, bo piło się wprawdzie dużo, ale tylko koniak i doskonałe wina francuskie. Stanu jego duszy w tej chwili nie można było jednak nazwać zupełnie normalnym. Przeżywał chwile tego boskiego djonizyjskiego podniecenia, w którem wszystko, co tajemnicze i nieuchwytne przyobleka się w dźwięki i kolory, w którem myśl przelatująca przestrzeń między wiecznością a nieskończonością odkrywa prawdy dotąd ledwie przeczuwane, a w rytm kroków, dudniących po kamieniach chodnika, wplatają się gotowe, przecudowne zwrotki poematów o zawrotnej głębi i boskiej plastyce lub sentencje w księdze magów czytane. A gdy je pragniesz zapamiętać i utrwalić, rozwiewają się w nicość, jakby z obawy, że mogą być schwytane w więzienie z papieru. W ślad za tem przyszła nieodłączna tęsknota do kobiety. Nie ta zwierzęca, chutna, samcza, która podnieconego alkoholem mężczyznę rzuca w objęcia zaczajonej na rogu ulicy prostytutki, ale kosmiczna, odwieczna, drgająca w pyle gwiazd, w wieczorny poszum lasów zaklęta, przelewająca się w głębokich oceanach, będąca najpiękniejszą pieśnią Salomonową wszechświata. I czuł, że kobieta, o której marzył w tej chwili, istnieje gdzieś na świecie, że nie jest tworem fantazji, ale czemś realnem, rzeczywistem, alabastrowem ciałem w poduszki wtulonem, że może przez sen wyciąga też ku niemu białych rąk lilije i że nie dojdzie do niej nigdy, bo inaczej nie istniałaby tęsknota na ziemi.

W tej chwili zagubione w przestrzeni oczy Pancewicza uderzył, rzęsiście oświetlony kwadrat szyby wystawowej: „Magazyn Konfekcji Damskiej“ pysznił się najświeższymi modelami Paryża i Wiednia i grą kolorów przywoływał do siebie przechodnia. Jak ćma pomknął bezwiednie ku temu światłu w ciemnościach nocy i stanął przed szybą wystawową. Nagle zadrżał do głębi swej istoty i wpił się wzrokiem w róg wystawy. Siedziała tam na krześle kobieta z wosku, naturalnej wielkości, wyrób paryski, wykonany z mistrzowską precyzją i artystycznym rzeźbiarskim chwytem. Strzecha wspaniałych, puszystych włosów o miedziano-złotym połysku (arcydzieło sztuki perukarskiej), okalała twarzyczkę o rysach subtelnych, jakby w kamei rzeźbionych. Z pod firanki rzęsów długich i aksamitnych patrzyła para oczu jasnych i czystych, jak morze o poranku (arcydzieło sztuki optycznej). Małe, zaróżowione, lekko rozchylone wargi zamarły w jakimś nieokreślonym, rzadkim momencie, jakgdyby przed

chwilą wypowiedziały komuś szeptem słowo: „kocham“. Z obnażonych ramion o królewskim spadku spływała miękko suknia z jedwabnej, zielonej crêpe de chine, oblepiając młode, jędrne piersi, biodra i długie, zgrabne nogi w pieszczocie miękkiego dotyku. Wosk lekko zaróżowiony dotknięciem pędzla naśladował łudząco połysk skóry, pod którą zdawała się krążyć krew młoda i gorąca. Nogi w jedwabnych pończochach, założone z kokieteryjnym wdziękiem, pociągały wzrok ku górze, ku temu przeczuwanemu, ciepłemu, najsłodszemu miejscu nad kolanem, gdzie kończy się pończocha, a jeszcze nie zaczęło się *dessous.*

Lecz co najdziwniejsze, twarz woskowej kobiety nie miała tego konwencjonalnego, bezdusznego wyrazu lalki. Fascynowała życiem, które zastygło na moment i czekało tylko na znak, aby się przebudzić.

Pancewicz stał bez ruchu, jakby wryty w ziemię, nie mogąc oderwać oczu od tego fantomu najdoskonalszej kobiecości. Coś w nim krzyczało wielkim głosem, że to właśnie jest kobieta, czekana całe życie, jego typ, widziany dotąd tylko w snach, a będący jedynem na świecie ucieleśnieniem jego tęsknoty. I patrzyli tak na siebie przez długą chwilę żywy człowiek i figura z wosku, przenikając się do głębi, w których się kryła tajemnica ich istnienia.

Pod wpływem tego wzroku nareszcie i ona zrozumiała. Wokół jej ust przewinął się uśmiech, zwycięski, mądry uśmiech Giocondy, a potem uciekł do oczu, które zdawały się mówić: Mój jesteś na wieki! Zdjęty nagłym lękiem, Pancewicz przetarł oczy. Nie! To nie było złudzenie — uśmiech ten widział najwyraźniej. Był on czemś tak rzeczywistem, jak to zimno szyby wystawowej, do której przywarł na chwilę rozpaloną twarzą. Był pewnym, że gdyby w tej chwili zbił grubą szybę wystawową, wdarł się do środka i dotknął ustami rozchylonych warg tej kobiety, stałby się jeden z największych cudów, o jakich piszą księgi czarnoksięskie: lalka z wosku ożyłaby i spłynęła z bijącem sercem w jego wyciągnięte ramiona. I zabrałby ją drżącą od wewnętrznego dreszczu do swego mieszkania, gdzie wśród pieszczot miłosnych wyszeptałaby mu tajemniczą historję swego bytu, aż do momentu przebudzenia do życia pod wpływem jego potężnej, nawet prawa fizyczne przezwyciężającej tęsknoty.

Ilajali! Tej bezimiennej, z jego serca i mózgu poczętej kochance nadałby to imię białe, przez aniołów szeptane na gwiazdach w cichą noc sierpniową, gdy ze wzruszenia cały firmament płacze złotemi łzami meteorów.

A ona, jakby rozumiała cichą mowę jego myśli, uśmiechnęła się znów tajemniczo, a morskie jej oczy przesłoniły się mgłą wilgotną, jakby mówiły: Pójdź i weź mię na zawsze.

Jeszcze silniej przywarł twarzą do zimnej szyby — zadźwięczała pod tym naporem i jakby wygięła się ku środkowi. W tej chwili położył ktoś ciężką rękę na ramieniu Pancewicza. Zatrząsł się i odwrócił momentalnie. Stał przed nim policjant, groźny w swoim spokoju i godności.

— Pan zdaje się za dużo dziś popiwszy — zamiast wyciskać nosem wystawy, lepiej pójść spać!

Pancewicz zawstydzony i jakby złapany na gorącym uczynku, powlókł się do domu. Policjant nie ruszył się z miejsca i ścigał odchodzącego oczyma, a potem, jak cień rozpłynął się w ciemnej framudze bramy. Nie było go widać, ale czuło się, że czeka przyczajony i przygotowany na powrót podejrzanego przechodnia.

Pancewicz, znalazłszy się w domu rozebrał się momentalnie i próbował zasnąć. Pod powiekami miał żywy obraz woskowej kobiety. Nawiedziła go też w gorączkowym śnie, piękniejszym od wszelkiej rzeczywistości i aż do świtu przesypywał przez palce miedziane złoto jej włosów, szepcąc najpiękniejsze zaklęcia, jakie powstały w mowie ludzkiej, albo rozgniatając w mocnym uścisku jej młode piersi. Była to rozkosz niewypowiedziana, trwająca bez końca, nieludzka prawie w swej sile i słodyczy. Rano zbudził się zmęczony i połamany, jakby po torturze na kole. Pójść i zobaczyć ją jeszcze raz — to była pierwsza jego myśl po otwarciu oczu. Ubrał się szybko i wybiegł na ulicę. Ranek był smutny i mglisty. Tramwaje wlokły się ze zgrzytem po szynach a wilgotna mgła wciskała się we wszystkie pory ciała.

Gdy zbliżał się do magazynu konfekcji damskiej, serce uderzyło mu, jak dzwon na trwogę. Czuł się, jak student przed pierwszym grzechem swej czystej młodości. Przystanął przed szybą wystawy i spojrzał w jej głąb. Kobieta z wosku siedziała na tem samem miejscu, lecz jakże zmieniona w brutalnem, aż nadto rzeczywistem świetle poranku.

Woskowa bladość jej cery miała w sobie coś trupiego. Z rumieńców na policzkach, z różu warg krzyczała nieudolność malarskiego pociągnięcia. Śmiesznie stroszyły się rzęsy, powtykane nierównomiernie i po partacku w woskowe powieki, niby szczecina wyrwana z miotły. W konwencjonalnym uśmiechu jej lalkowatej, nieruchomej twarzy było coś nieskończenie banalnego, cała nicość taniej tandety i bezduszności. Przez ażurową pończochę przeświecał trupi blask wypolerowanego wosku.

Przepadła gdzieś bezpowrotnie biała Ilajali z tajemniczym uśmiechem Giocondy, a pozostała marna kukła woskowa, obwieszona fałdami jedwabnej tkaniny. Wosk stał się czemś kategorycznem, narzucającem się widzowi z całą brutalnością materji. Czuł go Pancewicz w kończynach swych zwilgotniałych nagle, śliskich, zimnych palców, żuł jego mdły, słodkawy, nudny smak w ustach, w których wyschła nagle cała ślina, obrzydzeniem napawała go myśl zwarcia w ramionach tej zbitej masy wosku, imitującej piękno kobiecego ciała.

Splunął z obrzydzeniem i pomknął, jak strzała w boczną ulicę, jakby uciekał przed czemś złem i nienawistnem. A woskowa kukła wyszczerzała dalej ku przechodniom swe zęby z psiej kości — śmiejąc się głupio do pań, oglądających ostatni model paryski sukni z zielonej crêpe de chine'y.

Biedna Ilajali!



Listki figowe

Wiadomo, jaki świętobliwy użytek oddają liście tej zacnej rośliny z rodzaju morwowatych. Wypadł im los najniegodziwszy w całej przyrodzie. Drzewo samo przez się, jak wszystkie, niewinne — stało się czemś prawie nieprzyzwoitem. W oczach Europejczyka, nawet owa pradawna *ficus religiosa*, pod którą siedział Budda, traci swą czystą naturę, objęta żarem namiętności ludzkich. Sromotę drzewa figowego dzieli nieraz winna latorośl, której szerokie, rozczapierzone liście podkreślają bezwstyd antycznych posągów.

To wystarczy, jako wstęp do historji pewnego kustosza muzeum prowincjonalnego.

Był to niewielkich rozmiarów człowiek około lat czterdziestu. Pełnił swe funkcje kustoszowskie pilnie i gorliwie. Nie ufając służbie sam okurzał codziennie swe zbiory. Od czasu do czasu któremuś z Herkulesów lub Apollinów kazał przytwierdzać blaszany listek figowy. Nie czynił tego w świętem oburzeniu. Nagość w jego oczach nie była zdrożnością. Uważał jedynie, że wielu z tych bogów i bohaterów nie zachowuje należytej miary. Uczenice akademji sztuk pięknych, zajęte kopjowaniem rzeźb starożytnych, nabierają niewłaściwego pojęcia o naturze rzeczy. Wyobraźnia ich zwolna skłania się do przesady. To pociąga za sobą nader przykre następstwa. Wróciwszy z podróży poślubnej, na łonie matek wypłakują swoje rozczarowanie.

Kustosz, który był dobrym obywatelem, pragnął się przyczynić do zmniejszenia zła, ile tylko było w jego mocy. Rozmieszczał tedy dyskretnie i umiejętnie listki figowe wszędzie tam, gdzie spotykał niebezpieczną przesadę. Ale jakąż regułę stosować? Co uważać za nadmiar, a co za właściwy kanon? Gdzie znaleźć — że się tak wyrażę — złoty środek? Znakomity muzeolog nie miał tych wątpliwości. W sobie samym widział miarę niezawodną. Co wykraczało poza granicę, jaką tak szczęśliwie przyroda oznaczyła w jego cielesnej powłoce — to była zdrożna obfitość chimeryczna. Metoda okazała się tak wyborną, że kiedy kustosz obchodził swój jubileusz, w salach jego muzeum nie było ani jednego posągu starożytnego, któryby nie miał blaszanego listka...

B A J E C Z K I

Napisał

EUGENJUSZ HELTAI

POPULARNOŚĆ.



Pewien poeta miał bardzo piękną kochankę.

„Chciałbym chętnie jednym zamachem stać się popularnym“ — powiedział jej razu pewnego poeta.

„Napisałem wspaniały poemat. Nie wiem tylko, gdzie powinienem go opublikować, aby czytał go każdy“.

Wtem uderzył się w czoło. Przyszedł mu do głowy genialny pomysł:

Wypisał swój poemat na różowej skórze swej kochanki.

W niespełna tydzień deklamowano go w całym kraju.

ZAWSZE TE SAME!

W gabinecie pewnego młodego lekarza stał szkielet kobiecy. Lekarz miał wesołą przyjaciółkę, która razu pewnego bez pietyzmu i z pustej swawoli włożyła swój kapelusz, najnowszy model paryski, na czaszkę szkieletu. Później ogarnęła ją jednak trwoga przed zdjęciem kapelusza, i w rezultacie kapelusz pozostał na czaszce szkieletu.

Młody lekarz wyjechał za granicę i powrócił dopiero po upływie półtora roku. W gabinecie swoim zastał wszystko na tem samem miejscu.

W nocy jednak zbudził go ktoś ze snu. Przestraszony otworzył oczy. Na brzegu łóżka siedział szkielet i odezwał się z wymówką:

„Niema co mówić, ładnie pan mnie traktuje! Już półtora roku noszę jeden i ten sam kapelusz!“

ZAZDROŚĆ.



Pewien młody człowiek, bardzo zazdrosny o ukochaną dziewczynę niezupełnie zresztą pozbawioną kokieterji, mówił:

„Tych dwoje oczu zerka na wszystkie strony!“

I wykłuł dziewczynie oczy.

„Twojemi rękoma mogłabyś kogo przyzywać — mówił dalej i odciął jej ręce.

„Temi nogami mogłabyś porozumiewać się z kimś pod stołem!“ — powiedział znowu w nowym napadzie zazdrości.

I odciął dziewczynie nogi.

„Zupełnie zapomniałem, że potrafisz również mówić!“ — zauważył w trzy dni później i odciął dziewczynie język.

„Ażebyś nie mogła się do nikogo śmiać!“ — mówił i wyrwał jej zęby.

„Tak, teraz jestem przynajmniej poniekąd spokojniejszy!“ powiedział, gdy ściął jej również włosy.

I pierwszy raz w życiu odważył się pozostawić ją samą.

„Teraz jest wprawdzie potworną, ale przynajmniej cała i nazawsze moja!“ — powiedział do siebie, wychodząc z domu.

Jednak gdy wrócił zpowrotem, dziewczyna zniknęła.

Uciekła z właścicielem panopticum.

ZAKOCHANI I KSIĘŻYC.

Dwoje zakochanych przechadzało się po gęstym lesie przy blasku księżyca. Ona oparła głowę na jego ramieniu, oboje byli upojeni i szczęśliwi.

Księżyc jednak śmiał się szyderczo i złośliwie spoglądając na nich z góry.

„Patrz, jak się księżyc śmieje!“ — rzekła wreszcie ona.

On spojrzał w górę.

„Tak“ — rzekł zamyślony. — „Z czegoż on się śmieje?“

„Tego nie wiem“ — odrzekła — „ale to już nie po raz pierwszy widzę ten bezwstydny uśmiech, okalający jego wargi. Ilekroć przechadzam się po tym lesie zawsze śmieje się w ten sposób!“

„Teraz już wiem z czego on się śmieje“, — westchnął wówczas strapiony młodzieniec.

„Śmieje się ze mnie“.

GDY SIĘ NIE MUSI.

Mistrz Pikkolo, uliczny filozof, wlókł się jasną pogodną nocą jesienną ulicami. Zatopiony w myślach, bez celu, nieświadom samego siebie przechadzał się wzdłuż domów, odbywając przytem po kilka razy jedną i tę samą drogę. Zawsze od jednego rogu ulicy do drugiego.

Jakaś smutna, szczupła, a przytem tania rusałka uliczna chodziła tą samą drogą.

Zwróciła uwagę na starszego pana, przechadzającego się melancholijnie tam i z powrotem i ponieważ uważała go za człowieka pragnącego się zabawić, lecz nieśmiałego amatora, odezwała się do niego:

„Co porabiasz, mały?“

Mistrz Pikkolo zmarszczył brwi i odrzekł krótko:

„Spaceruję!“

„Spacerujesz?“ — zapytała dziewczyna zdziwiona. — „To powiedział pan tylko ot tak dla żartu, nieprawdaż?“

„Nie, najzupełniej serjo, bez jakiegokolwiek zamiaru i powodu spraceruję sobie“.

Wówczas dziewczyna klasnęła w ręce:

„Jezus, Marja! Jak można spacerować, gdy się nie musi?!“

Z węgierskiego przełożył

L. A.





Napisał

ANATOL KAMIENSKI

W przedpokoju zadzwoniły ostrogi. Bardzo blada i dlatego jeszcze ładniejsza Ola podała bilet wizytowy, na którym widniało: Jerzy Czyżewski, pod-kapitan gwardji.

— Kto taki? Może do pana? — spytała Barbara Dmitrjewna.

— Wszystko jedno, — odpowiedziała Ola jakimś zdeterminowanym głosem, — pan jeszcze śpi.

— Nie rozumiem... Co ci jest? Niezdrowa jesteś?... Proś.

Wszedł wysoki oficer w złotym pince-nez, z podgolonym wąsikiem i przedziałem przez sam środek głowy, który nadawał mu wygląd nieśmiały i prawie dziewiczy. Barbara Dmitrjewna z grzecznem zdumieniem postąpiła krok na jego spotkanie.

— Niech mi Pani wybaczy, — powiedział oficer, — mam do Pani bardzo poważną i niecierpiącą zwłoki sprawę, która z pewnością bardzo Panią zdziwi. Czyżewski. Były sąsiad Państwa z letniska. Małżonka Pani, o ile się nie mylę, zastałem w domu.

— Mąż mój jeszcze śpi, można go jednak obudzić, — mówiła zlekka wystraszona Barbara Dmitrjewna. — Ja w tej chwili...

— Niech Pani będzie łaskawa obudzić go. Muszę Panią uspokoić — nie przynoszę żadnej nieprzyjemnej wiadomości dla Pani lub dla Jej męża, ponieważ sprawa dotyczy wyłącznie mnie osobiście, mojego szczęścia i honoru.

Tylko przypadkowo związana jest z domem Szanownych Państwa. Chodzi o bardzo drażliwą i dla kogoś postronnego może nawet troszkę śmieszną historję, lecz dla mnie przybrała ona obrót prawie fatalny. Jedną chwileczkę: obudzi pani męża troszkę później. Pani, jako kobiecie, łatwiej mi będzie wyłuszczyć całą tę historję i związaną z nią prośbę.

— Proszę, niech Pan siada, — powiedzała wreszcie Barbara Dmitrjewna. — — Nastraszył mnie Pan i zaintrygował. Wszystko to brzmi tak dziwnie... Chociaż byliśmy sąsiadami, nie widziałam Pana ani razu.

— Zupełnie słusznie, — potwierdził kapitan. — Miałem wiele powodów po temu, by nie pokazywać się Państwu na oczy. A zatem, jeśli Pani pozwoli, przystąpię do rzeczy. Kilka dni temu, późno w nocy, w pobliżu domu państwa zaszedł pewien incydent. Miałem sprzeczkę z tutejszym stróżem, który nie chciał mnie wpuścić. Zachowywał się przytem tak wyzywająco, że zwymyślałem go i uderzyłem. Dzięki temu sprawa oparła się o moich przełożonych i w obecnej chwili, choć to może wydać się bardzo dziwnem, od Pani i Pani męża zależy mój ratunek lub zguba. Co jest w tem najbardziej oburzającego to to, że człowiek ten zna mnie oddawna i dziesiątki razy wpuszczał mnie do domu, i jedynie wtedy właśnie ugryzła go jakaś mucha. Zresztą, tak czy owak, wybuchnął skandal i w rezultacie stróż nie krępując się zupełnie wskazał moim przełożonym mieszkanie Szanownych Państwa i zdradził prawdę, która kompromituje mój mundur i za którą sąd koleżeński może wyprosić mnie z pułku... Ach, ciągle wybiegam naprzód. Tak trudno wymówić to, co najważniejsze. Jednem słowem, bywałem w mieszkaniu państwa przez całe pół roku prawie noc w noc i państwo nie podejrzewaliście tego. Chodziłem do Pani pokojowej, Oli. Proszę mi wybaczyć, że wtajemniczam panią w swe życie intymne, lecz wymagają tego wyjątkowe okoliczności i musi Pani wiedzieć o wszystkiem. Poznałem Olę w lecie, na letnisku i właśnie od tego czasu... Zanadto jestem zdenerwowany... Czy pozwoli Pani zapalić... Przysięgam Pani na honor, nie usiłuję bynajmniej wytłumaczyć mego postępowania, znajduję je sam bardzo ryzykownem, nawet lekkomyślnem, lecz z mieszkaniem Państwa związane są dla mnie najpiękniejsze wspomnienia mego życia. Muszę się naprawdę przed Panią wyspowiadać i proszę mi wierzyć, że uczucie moje dla Oli jest najzupełniej poważne. Jedynie fałszywe tradycje sfery, do której należę, przeszkadzają mi w przedsięwzięciu pewnego bardzo odpowiedzialnego kroku. Chociaż nie tracę bynajmniej nadzieji, że z czasem...

— Ola jest bardzo dobrą dziewczyną, — powiedziała poważnie Barbara Dmitrjewna, — jednakże, co za nieprzyjemna historja... W czemże jednak my z mężem moglibyśmy być Panu pomocni?

— Oświadczyłem dowódcy, że jestem dobrym znajomym Szanownych

Państwa i że przez cały ten czas bywałem u Państwa. Dowódca uwierzył mi na słowo, lecz wobec niezrozumiałego uporu stróża, który nie przestaje twierdzić, że bywałem nie u Państwa, lecz u Oli, dowódca żąda z mej strony dowodów.

— To Bazyli, — powiedziała Barbara Dmitrjewna. — On ciągle swata się do Oli.

— Tak, mówiła mi o tem. A zatem, jeśli położenie w jakim postawił mnie głupi przypadek nie jest Państwu całkowicie obojętne, możecie Państwo uratować mnie od strasznego nieszczęścia — wystąpienia z pułku. Czy mąż Szanownej Pani nie zgodziłby się pojechać razem ze mną do mego dowódcy i potwierdzić, że bywałem i przesiadywałem u Państwa do późna w nocy.

— Dobrze, pomówię o tem z mężem.

Barbara Dmitrjewna wstała i z trudem powstrzymując uśmiech wyszła z salonu. Ton oficera pełen uszanowania, jego zmieszanie, nieskazitelne maniery, zapach subtelnych perfum, dziewiczy przedział przez środek głowy — wzbudzały w niej współczucie z jego nieszczęściem, lecz jednocześnie śmieszyły ją natrętne szczegóły jego bynajmniej nie gwardyjskiego romansu.

Kapitan Czyżewski nieruchomo siedział w fotelu, jakgdyby obawiając się obrócić swą twarz do światła. Blada, ładniutka Ola skradając się podeszła do drzwi salonu, spojrzała przez szparę na swego ukochanego i nagle opanowana uczuciem chłodnego, strasznego wstydu, uciekła z powrotem.

— Mąż mój chętnie uczyni zadość Pańskiej prośbie, — powiedziała Barbara Dmitrjewna, wracając wraz z mężem ubranym w aksamitną bonżurkę. — Poznajcie się Panowie, proszę. Wtajemniczyłam już mego męża we wszystko.

— W najwyższym stopniu nieprzyjemna historja, — powiedział basem mąż, z współczuciem, po męsku spoglądając w oczy kapitanowi. — Co za szubrawiec ten Bazyli! Poproszę rządcy, aby wypędził go natychmiast. Kiedy rozkaże Pan pojechać z sobą do dowódcy?

— Jeśli mogę Pana prosić, to zaraz, — odpowiedział oficer. — Pozostawiono mi wszystkiego 24 godziny czasu.

— W takim razie ubieraj się prędzej, — powiedziała do męża Barbara Dmitrjewna, — my — rzuciła zezem na bilet wizytowy — z panem Czyżewskim na ciebie poczekamy.

Co za długa, męcząca, nieskończona minuta! Kapitan siedział ciągle w tej samej zgarbionej, pełnej uszanowania pozycji i nagle, niespodzianie dla samego siebie, zapytał:

— Jak uczy się Sierioża?

— Dobrze, dziękuję Panu — stropiła się cokolwiek Barbara Dmitrjewna, — tylko po tyfusie przytępiła mu się trochę pamięć.

— Biedaczek! — ze szczerą czułością powiedział Czyżewski.

— Pan go zna?

— Tak. Ze słów Oli. Zresztą przeglądałem Państwa album rodzinny.

— Ach, prawda... zapomniałam...

— Jest mi strasznie niezręcznie, — powiedział oficer. — Nie znając Państwa osobiście, poznałem mimowoli Państwa mieszkanie, życie domowe... Niech mi pani wierzy, nigdy tego nie wykorzystam... Dla męża Pani i Pani samej za Wasze dobre obchodzenie się z Olą żywiłem zawsze szczerą sympatję. A Sieriożę wprost kocham. Kiedy był chory, strasznie się o niego obawiałem.

— Dziękuję Panu, — mówiła zmieszana Barbara Dmitrjewna. — Niech Pan wybaczy mi niedyskretne pytanie: czy pan bywał u Oli w jej pokoju?

— Tak.

— W takim razie rzeczywiście mógł Pan wiele rzeczy słyszeć, a nawet widzieć...

— O, nic nadzwyczajnego, — pospiesznie odparł oficer, — tylko to co dolatywało do mnie urywkami. I przedewszystkiem wszystko to wydaje mi się niesłychanie wzruszającem, bliskiem... Wraz z Olą mimowoli zżyłem się ze sprawami Szanownych Państwa. Pamiętam, przy mnie przyniesiono depeszę o śmierci ojca Szanownej Pani. Przy mnie małżonek Pani wrócił z klubu po bardzo dużej przegranej w karty...

— Koniec końców, — z ożywieniem zawołała Barbara Dmitrjewna, — to nawet zabawne! Musi mi Pan koniecznie opowiedzieć, co przypadkowo stało się panu wiadomem.

— O, może być Pani najzupełniej spokojną, nic takiego, co mogłoby stworzyć pewnego rodzaju niezręczną sytuację.

— Jednak... Ot mówi Pan naprzykład o powrocie męża z klubu. Nie mógł Pan przecież nie słyszeć naszej poważnej sprzeczki tej nocy. Przecież rozmawiając zachodziliśmy nawet do kuchni...

— Ach, cóż za drobnostka...

— Co ty powiadasz o kuchni? — spytał nagle pan domu, wchodząc do salonu i w pośpiechu zawiązując krawat.

— Ach, strasznie zabawna sytuacja! Przecież pan Czyżewski był mimowolnym świadkiem wielu wypadków z naszego życia. Pamięta naprzykład naszą sprzeczkę po twej przegranej w klubie.

— Ach, tak, — dość sucho powiedział Jan Aleksandrowicz, — doprawdy? A czy nie spóźnimy się z Panem? — zwrócił się do oficera.

— Tak, tak, — powiedział Czyżewski, — musimy jechać. Pozwoli Pani złożyć sobie serdeczne podziękowanie za subtelne, wyjątkowo taktowne i pobłażliwe odniesienie się do mej sprawy. Jeszcze ostatnia prośba: niech Pani nie gniewa się na Olę, jeśli będzie zmuszona Państwa opuścić. Ona

tak przywykła do rodziny Państwa, ale rozumie Pani sama, że po tem co zaszło... Oczywiście zostawi czas na wyszukanie... zastępczyni...

— Ach, proszę Pana bardzo... Przecież w zupełności rozumiem...

— Wynająłem już jej niewielki pokoik, i skoro tylko będzie Państwu dogodnie ją zwolnić...

W przedpokoju pod-kapitan sam musiał już włożyć płaszcz, ponieważ Ola więcej się nie pokazała.

Kiedy dojeżdżali do koszar, Jan Aleksandrowicz, który przez cały czas dyskutował z Czyżewskim na temat oburzającego stanu bruków, wahań na giełdzie, nowych wypustek, które jak mówią, mają niezadługo zostać wprowadzone do umundurowania gwardji, nagle powiedział zmienionym i cokolwiek cienkim baskiem:

— A propos. Dwa słowa. Słyszałem część rozmowy Pańskiej z żoną o mojej przegranej w klubie. Był pan tej nocy w pokoju u Oli, słyszał pan naszą scenę małżeńską i t. p. Tem samem, nie mógł pan nie słyszeć tego, co zaszło w pół godziny później, kiedy zaszedłem do kuchni po wodę i Ola przelewała mi ją z samowara do karafki?

— O, co za drobnostki, — mówił zmieszany oficer — niech pan będzie łaskaw o tem zapomnieć.

— Ale podobne rzeczy powtarzały się niejednokrotnie. Teraz rozumiem w zupełności i chłód i nawet okrucieństwo Oli, jednak strasznie niemiło, że pan był świadkiem moich poniżeń. Przyzna Pan sam, pełzać na kolanach, całować po rękach...

— Iwanie Aleksandrowiczu! Przysięgam Panu na honor, że wszystko to umrze wraz ze mną...

Przełożył

M. K—ski



RENESANS BIUSTU

Napisał

FRANZ BLEI

Niepokojący problemat figury kobiecej, wysunięty na czoło zagadnień dnia przez modę ostatnich lat i doprowadzonej przez nią do linji w swej nieskazitelnej płaskości prawie męskich, wypływa znowu na widownię dziejową. Z różnych stron, między innymi i z dalekiego Paryża rozlegają się już głosy, narazie pojedyncze i nieśmiałe, o niezadługim powrocie na arenę mody kobiety pełnej, prawidłowo i po kobiecemu rozwiniętej. Dla wielbicieli ciała kobiecego zwiastują one powrót i rozrost wielu okolic tego ciała wyrugowanych ostatnio przez tyranję mody, okolic tylekroć opiewanych przez naszych przodków, które nasze pokolenie zna jedynie ze słyszenia i do których miało się już czas stęsknić. Jednym z pierwszych objawów tej wielkiej reakcji będzie renesans biustu — tych przylądków miłości. Ku pocieszeniu i otusze ich zwolenników, wielbicieli i poetów podajemy ważki głos w tej sprawie wybitnego „feminologa“ niemieckiego, jednego z tych, których zdanie możemy śmiało uważać za nieoficjalny biuletyn zza kulis primadonny-mody.

— W jakim kształcie życzy je sobie pani? O, proszę się zupełnie nie krępować, łaskawa pani, może pani wybierać: okrągłe, jak jabłka, podłużne, jak cytryny. Pani sądzi, że z niemi wszystko najzupełniej skończone, że imię ich zostało wygnane i skreślone, że ich miłe, niedyskretne istnienie, skończyło się raz na zawsze? Grubo się łaskawa pani myli! Tak, tak, zapewne, mówi się o tem, jak o minionych błędach, przeklina się biust, jak rodzaj histerji zbiorowej, jak jakąś epidemję minionych czasów. Lecz, chociaż prześladowany i pogardzany, istnieje on jednak w tajemnicy nadal. Jest w nim jakaś zuchwała żywotność. „Na przyszły rok w Jerozolimie...“ — mówili inni uciskani przez długie stulecia. Uciskane, o których w tym wypadku mowa, mówią cichym szeptem: „Na przyszły rok w staniku“. Krótko i węzłowato: biust

wchodzi napowrót w modę. I na tem właśnie oparłem moje przedsiębiorstwo. Proszę mi wierzyć, łaskawa pani, wkrótce nastanie godzina wzniesienia piersi na należny im piedestał. Rewolucja ta wisi już w powietrzu. Tak jest, zostaną one wzniesione w tych wszystkich miejscach, które dziś są puste lub płaskie, albo takiemi się stały dzięki płaskiej modzie. Natura bowiem nie stwarza tego tak szybko z dziś na jutro. Do tego służy właśnie sztuka, łaskawa Pani, — moja fabryka. Czary z lekkiego kauczuku, w naturalnych kolorach czekają na nadciągający, jak burza świat kobiecy. Wytwarzam sześć do ośmiu rozmaitych typów. Proszę popatrzeć. Radzę pani wziąć wszystkie! Zmieniamy się przecież nieustannie, nieprawdaż? Te skromne — na dni postne i pokutne, te zaś, nieco bardziej natrętne, — do białej haftowanej tuniki, te dwie ostatnie do hiszpańskiego szala. Umocowuje się je w najprostszy w świecie sposób. Ledwie dostrzegalna wstążeczka łączy je z przodu, druga zaś przeprowadzona pod ramiona zawiązuje się na plecach. Przykryte koronkami lub crêpe de chine'ą, zakrywają, gdy są puste, znajdującą się pod nimi próżnię, wypełnione zaś skrywają łatwo rozpruszające się tajemnice i unieruchomiają je pod swą kopułą. Łaskawa pani zdaje się nie być zadowoloną? Efekt ten wydaje się pani zbyt doskonałym? Ta namiastka piersi wzbudza przez swą w swoim rodzaju skończoną doskonałość — pewne podejrzenie? Ale ja przewidując to, pomyślałem i o konsekwencjach. Proszę obejrzeć te dwa woreczki z tiulu. Mieszczą one w sobie wszystko, co jest płynnego i niezdecydowanego. Ujmują i skupiają w określonem miejscu. Mały ruch ręką, nic więcej, a wszystko jest zebrane i umiejscowione: Wenus jest gotowa. Proszę panią łaskawie zwrócić uwagę na te dwa otworki po środku, są one wprost genjalne! Pozwalają wyłaniać się brodawkom piersi i tem samem nadają życie dziełu sztuki. Łaskawa pani waha się? Nie wierzy pani w nadchodzący renesans piersi? On jednak się zbliża, jednak się zbliża. Przeciwieństwo osiągnęło już maksimum: to zaś oznacza tylko bliskość reakcji. Panie są jeszcze w biodrach płaskie, jak flaszka wina reńskiego, ale wkrótce to minie! Panie są jeszcze płaskie, jak ręka, jednak zbliżająca się szybkim krokiem odwrotna reakcja wkrótce tę rękę wypełni.



Trzy godziny w Hollywood

INTERWIEW Z POLĄ NEGRI

Auto przestało nagle stukotać i podskakiwać na kostkach drewnianego bruku. Pyszny wiśniowy Rolls-Royce mknął teraz chyżo gładko i cicho po wyprażonym i zmiękłym od słońca asfalcie West-Avenue, najelegantszej i najdłuższej ulicy Hollywoodu. Dwa rzędy pękatych palm uciekały po obu stronach jezdni. Mijaliśmy niewielkie pałacyki i wille — luksusowe hom'y filmowych gwiazd i potentatów.

Mój towarzysz, mr. Lesser, jeden z najzdolniejszych młodszych reżyserów, znany, jako bajeczny „nos" w kwestjach filmowych, zresztą, wedle pogłosek, człowiek pochodzenia polskiego (t. zn. mało polskiego, ale w każdym razie — polskiego), z którego gościnności, informacji i auta właśnie korzystałem, wskazywał głową, a raczej krótką fajką, tkwiącą mu nieodłącznie w ustach, na jeden pałacyk po drugim i rzucał: „Strohheim", „Talmadge", „Chaplin", „Fairbanks", „Grifith". — Auto zatrzymało się cicho i znienacka. Czekoladowy szofer w wiśniowej liberji otworzył drzwi.

— Jest Pan u celu, — rzekł mr. Lesser. — Tu mieszka Pola Negri. Przyjemnej zabawy. Czekam Pana wieczorem w Casino. *Good by.*

Krótki *shakehand* i przepych wiśniowy warcząc zlekka ruszył z miejsca i zniknął w przecznicy.

Przez niedomkniętą furtkę w sztachetach, podchodzę do uroczej białej willi otoczonej krzewami ciemno-zielonych palm. W tej samej chwili otwierają się ciemne, dębowe drzwi i staje w nich mały murzyński groom. Z twarzą, którą liczne wizyty oduczyły ciekawości i pytań, prowadzi mnie do słonecznego hallu i odebrawszy mi kapelusz, laskę, rękawiczki i wizytówkę — znika. Podziwiałem właśnie piękną, marmurową rzeźbę, popiersie Poli Negri, w kącie hallu, urządzonego dość bezładnie i trochę „na pokaz", gdy usłyszałem za sobą szmer czyjegoś wejścia.

Pola Negri.

— Dzień dobry Panu, — uśmiechnęła się czarująco wyciągając do mnie dłoń.

Usiedliśmy w ogromnych, pluszowych fotelach i rozpoczął się bezład pytań i odpowiedzi.

— Przepraszam na chwilkę, — przerwałem, po wzajemnem dowiedzeniu się „co słychać?“ Zaczynam część oficjalną: — Czy wolno mi obejrzeć Panią dokładnie i milcząco?

— *Honny soit, qui mal y pense*, -- zaśmiała się pani Pola. — Czy nie widział mnie Pan dość dokładnie na stu rozmaitych płótnach?

— Chodzi o moje prywatne i bezpośrednie wrażenie, — odparłem poważnie.

— No i jak? — spytała po chwili Pola Negri z uśmiechem.

Stwierdziłem, że wygląda pięknie, ponad wszelkie określenia. W istocie, nie widziałem jej jeszcze nigdy w tak doskonałej formie urody, szyku, ponętności i humoru. Pola Negri była zachwyconą. Uważa, że komplement jest wogóle jedyną formą konwersacji pomiędzy kobietą a mężczyzną.

— Jak Pan znajduje, — spytała z miejsca. — Czy dobrze zrobiłam ucinając włosy? Mary Pickford twierdzi, że mi w dawnej fryzurze było lepiej...

Byłem oburzony. Mary Pickford mówi tak z czystej zazdrości. Pani Pola jest teraz typem urody w swoim rodzaju niedoścignionym. Typowa *femme-diable*, twarz: pociągła, oczy: ogromne, pyszne, przesycone żywem srebrem temperamentu, nogi: pierwsza klasa, znaki szczególne: Pola Negri. Używa perfum doskonale sharmonizowanych z jej osobą, trochę afektowanych, wyrazistych, zmysłowych i despotycznych. Objaśniła mnie, że są to „*Californian Pappies*“ — maki kalifornijskie. Naogół zmieniła się ogromnie. Pamiętam ją jeszcze z tych czasów kiedy, występowała w Warszawie, szczupła, kanciasta w ruchach i niebardzo pewna siebie. Ale teraz, ta cudownie rozkwitła dama, która potrafi być do niemożliwości arogancką, kapryśną i wytworną, do złudzenia naiwną i niewiarygodnie wyrafinowaną, ta gwiazda, która ma dochody większe niż Wielka Niedźwiedzica, a sławę z pewnością niemniejszą — nie wstydzi się bynajmniej swojej przyszłości. Fakt, że zanim stała się Polą Negri, była Paulą, powiedzmy nawet Apolonją Schwartz i co gorsza Żydówką — jest w jej życiu momententem dość zabawnym, mniej więcej epizodem z dawnego filmu, który spełnił swoje zadanie, t. j. opłacił się i przestał być modny. Pola Negri kokietuje swoją przeszłością bardzo umiejętnie — wie, że dodaje to jej wiele egzotycznego uroku. Oczywiście nie u nas, ale w Los Angelos. Przytem poczuwa się chętnie do swojej polskości.

— Czy to prawda, — pytam — że tuż po wojnie posyłała Pani spore sumy dla biednych w Polsce?

— Drobiazg, o którym nie warto wspominać! — odpowiada żywo pani Pola. — Chyba o tyle, że byłam dzięki temu przez pewien czas bojkotowana w Niemczech. To znaczy próbowano mnie bojkotować, ale nie dało się. Byłam silniejsza i wyszłam z walki zwycięsko. Moje ostatnie filmy cieszą się w Niemczech największem powodzeniem.

— Nad czem Pani teraz pracuje?



— Szkoda, że nie wpada Panu inne pytanie na myśl! — ubolewa pani Pola. — Takie pytania są najbardziej oklepane, a odpowiedzi najmniej interesujące. Czekam tylko jeszcze, kiedy mnie pan zapyta — jaki jest mój stosunek do filmu?

— Jaki jest Pani stosunek do filmu?

— O Boże, czemu mnie Pan na jaki miesiąc wcześniej nie uwiadomił o swojem zapytaniu? Byłabym sobie przygotowała jakiś aforyzm... Teraz jest niestety zapóźno. Mój stosunek do filmu? — Gram. Ale dajmy temu lepiej pokój. Bardzo proszę — niech mnie Pan pyta o coś niedyskretnego. Szalenie lubię ludzi niedyskretnych — są oni nam bardziej potrzebni, niżby się wydawało. Kino stwarza nam sławę, niedyskrecja — popularność.

— Dobrze. Ile Pani ma teraz gaży?

— Nie wiem — śmieje się Pola Negri. — Moje konkurentki zapewniają managerów, że więcej, mój manager zapewnia konkurentki, że mniej. Jest to rzecz niezbadana.

— Czy nie wychodzi Pani przypadkiem w najbliższej przyszłości za mąż?

— O ile mi wiadomo — nie. Trzy razy próbowałam w tej karjerze szczęścia. Niestety, żadna z prób nie przyniosła mi, ani w części tyle zadowolenia, ile jedna próba z filmu pod tytułem „Małżeństwo na próbę“. Stwierdziłam na doświadczeniu, że żaden mężczyzna nie zdołał mnie w zupełności zadowolić...

— *Honny soit, qui mal y pense* — pani Polu...!

— Przepraszam — żaden mężczyzna nie zdołał spełnić tych wszystkich nadzieji, jakie w nim, w małżeństwie i miłości pokładałam. Ostatecznie — w małżeństwie szuka się wszystkiego, a ja zawsze znajdowałam tylko jedną trzecią. Kochałam się trzy razy. Pierwszy raz w Warszawie. Była to miłość platoniczna, romantyczna, i idealna. — On był młodym i biednym malarzem — ja miałam lat siedmnaście. Kiedy zachorował na suchoty, rzuciłam wszystko — karjerę, przyjaciół, matkę — i wyjechałam z nim zagranicę. Pewnej nocy umarł w moich ramionach. Nauczyłam się wtedy prawdziwej boleści i prawdziwych łez.

Po chwili milczenia, opowiada Pola Negri dalej:

— W kilka lat później, wkrótce po ukazaniu się mojego filmu „Pani du Barry“, t. j. już w pełni mojej karjery filmowej w Berlinie, odwiedziłam Warszawę. W drodze powrotnej, zatrzymano mnie w nocy na polskiej granicy — nie pozwolono mi wywieźć z kraju mojej biżuterji. Nie pomagały perswazje, przedstawienia, prośby, nawet gotowość zapłacenia jakiegokolwiek cła — ustawy zabraniały wogóle wywozu klejnotów. Byłam okropnie zdenerwowana, ponieważ w Berlinie czekano już na mnie od tygodnia z rozpoczęciem zdjęć do nowego filmu. — Ani chwili nie miałam do stracenia. Ale za nic na świecie nie potrafiłabym się rozstać z moimi kamykami. Wobec

tego wpadłam w najwyższą pasję i kazałam zaprowadzić się do komendanta straży celnej. Wpadłam do urzędu rozstrojona i wściekła. Komendant powstał od biurka i spojrzał na mnie ze zdziwieniem. Rzuciłam się na niego z furją i nagle — stanęłam, jak wryta: Na Boga — kocham go! Tego samego wieczora przystrojona w moje klejnoty, jadłam z nim, z hrabią Dąbskim, obiad w jego pobliskim zamku. W cztery miesiące później, zostałam jego żoną i rozwiodłam się z nim dopiero po roku.

— A Berlin? — pytam z zainteresowaniem.

— Czekał przez cały rok. Kochałam mojego męża bardzo, ale była to miłość oparta tylko na zmysłach, a to bądź co bądź nie potrafiło mnie tak zająć, jak mnie zajmuje praca. To było drugie doświadczenie w dziedzinie miłości.

— A ten trzeci?

— Był Charlie Chaplin... Moja miłość do niego miała charakter zupełnie odmienny — kochałam go uczuciem zdecydowanie macierzyńskiem, ale nasza wspólna praca zamiast nas połączyć, stanęła nieubłaganie pomiędzy nami. Wszystkie wytwórnie, wszystkie agencje, wszyscy reżyserzy, wszystkie objektywy sprzeciwiały się stanowczo i gwałtownie tak dzikiemu scenarjuszowi, jak nasze małżeństwo. Twierdzono, że jako małżeńskie stadło, stracilibyśmy oboje wszystkich adoratorów, względnie adoratorki — oczywiście ja adoratorki, a Charlie adoratorów. Cała Ameryka powstałaby przeciw nam, jak jeden mąż — nie, jak jeden kawaler. Ostatecznie — byłabym to przemogła, byłabym zapłaciła wytwórni miljon dolarów odszkodowania i jako Pola Chaplinowa przestała być Polą Negri. Na szczęście obojgu nam w sam czas przeszło. I Charliemu i mnie. Potem zrozumiałam — każda artystka musi się raz na zawsze zdecydować: czy wybrać jedną scenę i wielu mężów, czy jednego męża i wiele scen... I w rezultacie wybrałam... —

— Wielu mężów?

— Nie — jedną scenę. To jest moje ostatnie doświadczenie po wszystkich trzech miłościach.

Jeszcze kilka słów o tem i owem. Herbata. Keksy. Likier. Papierosy.

— Dziękuję bardzo, Pani Polu, *Good by*.

— *Good by*. Czy mogę Panu pożyczyć moje auto? Bardzo proszę.

Śliczny, popielaty Mercedes 40 HP, zajechał przed willę. Pola Negri odprowadziła mnie do furtki. Przez sztachety zawołała jeszcze z uśmiechem:

— A nie zapomnij Pan przesłać mi numeru „Winnicy“ z naszym interwiewem?

— Nie zapomnę, Pani Polu, z całą pewnością.

Ruszyliśmy chyżo z miejsca.

Jaka szkoda, myślałem przez cały czas jazdy, że to wszystko jest nieprawda...

CHEVALIER DE FAUX-PAS



Napisał

HANNS HEINZ EWERS

Droga Lili!

Przypominasz sobie może, żeś razu pewnego wyśmiała mnie, gdym cię prosił, byś pozwoliła mi ucałować swe nogi? Powiedziałaś wówczas: „Ach, Janie, ty zawsze musisz wymyślić coś niezwykłego!"

Obecnie znów wydarzyło mi się coś niezwykłego — chcę ci o tem opowiedzieć.

Latem, jak ci wiadomo, bawiłem w Wiesbadenie. Tam poznałem Polomitę; i ty znasz ją zapewne z moich wierszy.

Pochodziła z niemieckiej rodziny z Buenos-Ayres i przybyła do Niemiec w odwiedziny do swoich krewnych. Stryj jej był sędzią w Wiesbadenie, tam też ją poznałem. Miała lat ośmnaście i była wysmukłą blondynką — tak jasną, jak ty, Lili.

Pewnego dnia przyniosłem dla pani sędziny kwiaty i zastałem tam Polomitę; miała na sobie długi, powłóczysty szlafroczek w pstre kwiaty. Pani Klara kazała podać szampana, piliśmy, jedli poziomki i palili. Pani Klara szczebiotała i śmiała się bez przestanku, siadała na fortepianie, wyglądała przez okno, kręciła się i uwijała, jak fryga. Lecz Polomita nie poruszyła się ani razu, zaledwie wymawiała słowa. Podciągnęła nóżki na szeslong, maczała

w szklance keks i patrzyła na mnie szeroko rozwartemi niebieskiemi oczyma. Gdy pani Klara na chwilę wyszła, przystąpiłem do Polomity, ująłem jej rękę i całowałem. — Nie sprzeciwiała się.

Niewiem kiedy uświadomiliśmy sobie, że się wzajemnie kochamy. Każdego popołudnia o godzinie czwartej szedłem do niej. O tej porze sędzia odchodził do sądu, stamtąd zaś udawał się zawsze na wieczorny kufelek. W ten sposób pozostawaliśmy sami aż do godziny ósmej. — Z początku piliśmy herbatę we troje; potem pani Klara odchodziła i zostawiała nas samych.



I zawsze z tym samym frazesem:

— „Wybaczcie, ale ja faktycznie muszę zajść do krawcowej!" — „Wybaczcie dzieci, dziś muszę odebrać próbne zdjęcia od fotografa!" — Nie pamiętam już co za sprawunki wypadały jej codziennie — — lekki uśmieszek i wychodziła.

Najczęściej staliśmy jeszcze przez chwilę przy oknie i żegnali ją skinieniem głowy.

— „Bądźcie grzeczne, dzieci" — wołała — „mama wkrótce wróci!"

Nie wracała jednak nigdy przed ósmą.

I Polomita i ja mówiliśmy tak mało... Polomita była tak powolną i leniwą w każdym swym ruchu, lecz lenistwo jej miało w sobie coś boskiego, coś zniewalającego. Często klękała przedemną, opierała łokcie na moich kolanach i wpatrywała się we mnie zdrętwiałym wzrokiem. Wtedy gładziłem jej policzki, albo recytowałem jej moje wiersze.

Niekiedy siadała do fortepianu i grała. Gra jej była miękką, pachnącą i przejmowała słodkim dreszczem. Wtedy siadałem przy niej. Brałem często jej nogę, zdejmowałem pantofelek i pończochę i pokrywałem tę słodką białą nogę gorącymi pocałunkami.

Uważała to, za coś zupełnie naturalnego, nie znajdowała w tem nic „niezwykłego", jak ty, Lili!

— Przecież Polomita i ja kochaliśmy się! I jej młoda, oszałamiająca pierwsza miłość upajała mnie, kazała mi o wszystkiem zapomnieć, w tym czerwonym

raju, którego ciężkie, tureckie kotary zaledwie przepuszczały słaby promyk słońca.

Szczęście, znowu zamknęło mnie z uśmiechem w swych ramionach. Nie pisałem ci nic o tem, Lili?! — Czy pisałem ci kiedykolwiek, gdy byłem szczęśliwy?

Opowiedziałem o tem jedynie memu przyjacielowi, wiesz, temu przystojnemu, małemu Karolowi. Komuś musiałem się z tego zwierzyć! Zabrałem go nawet raz z sobą na ulicę Zamkową i tu we czworo trąciliśmy się kieliszkami: pani Klara, Karol i my oboje — na zdrowie naszej miłości! Polomita oplotła mi szyję ramieniem:

— O, mój Janie, jak ja cię bardzo kocham!

Pozostawało nam wszystkiego dwa miesiące — potem musiała wracać z powrotem za morze. I tak wyjednała u swej kuzynki, że nie będzie grała w tenisa, nie będzie chodzić na wyścigi, ani na koncerty, ani do teatru. Będzie pozostawać w domu — sama — —

Sędzia dziwił się temu bardzo, wkońcu doszedł do wniosku, że zapewne musiała się nieszczęśliwie zakochać.

Lecz ona kochała się szczęśliwie.

Pewnego razu przyszedłem do niej znowu, było to 18 czerwca. Pani Klary nie było, a Polomita leżała, jak zwykle, na kanapie. Powiedzieliśmy sobie dzień dobry i całowaliśmy się. Nagle, gdy ręka moja gładziła jej skroń, westchnęła; zdawało się, że usypia. Przesunąłem jej jeszcze kilka razy ręką po czole – usnęła naprawdę. Już przeszło od dwóch lat nie hypnotyzowałem nikogo, jeszcze od czasu mego pobytu w Monachjum. Przypominasz sobie, Lili, tam było to naszą codzienną rozrywką.

Polomita spała. Lekko rozpuściłem jej włosy i zanurzyłem swą twarz w miękkich splotach mojej jasnowłosej pani —

Zadzwoniono. Wróciła pani Klara i pozostała dzisiaj z nami. Odtąd hypnotyzowałem Polomitę codziennie; była wspaniałem medjum. Każdy rozkaz wykonywała natychmiast, deklamowała, śpiewała, grała — mogliśmy występować razem na scenie. Pani Klara była zachwycona — —

Nazajutrz przyszedłem znowu; i gdy zostaliśmy sami — lekkie naciśnięcie ręki — „Śpij kochanie!“ i, opadając wtył, usypiała. Było dla mnie nieznaną, niedającą się opisać rozkoszą mieć ją śpiącą w swych ramionach.

Leżała bezwładna, bez tchu. Całowałem jej włosy, jej oczy, usta, ręce. A później — o, zaledwie zdawałem sobie sprawę z tego, co czynię — rozpiąłem jej suknię i pokrywałem pocałunkami jej białe piersi.

I tak usypiałem ją codziennie; ilekroć tylko pozostawaliśmy sami, codziennie.

24 czerwca słońce stało na niebie rozżarzone, o jak strasznie żarzyło się. I tego dnia krew w moich żyłach grała i pulsowała, jak nigdy dotąd. Przy-

szedłem do Polomity. Pani Klara wyszła, a Polomita spała w moich ramionach. I wtedy stało się. Rozebrałem ją z sukni i koszulki, zdjąłem z niej wszystko. Nie poruszyła się. A potem wziąłem jej słodką niewinność —

Nie broniła się, oczy jej pozostały zamknięte. Tylko lekki okrzyk wyrwał się z jej warg. Okrzyk podobny do tego, jaki niegdyś wydała sarna trafiona moją kulą w błotnistym lesie.

Od tego czasu prawie nigdy nie widziałem Polomity nie śpiącą; przychodziłem do niej i natychmiast usypiałem ją. W kilka dni później rozkazałem jej:

— Czy słyszysz mnie, kochanie? Chcę byś mnie wpuściła do siebie dzisiejszej nocy. Masz się postarać o klucz od bramy zanim udasz się do swego pokoju. Słyszysz? — Dziś o dwunastej w nocy weźmiesz klucz, przywiążesz go do sznurka i wywiesisz za okno. Drzwi swoich nie zamkniesz. Zostawisz światło, bym widział, że mnie oczekujesz. Czy słyszysz co ci rozkazuję? — Wszystko to — masz — uczynić!

Polomita drżała, jej nagie ciało dygotało w moich ramionach.

— Czy słyszałaś mnie? — Czy uczynisz to?

Jej „tak!“ brzmiało bezwiednie i bezwolnie.

Nie zważałem na to. — O dwunastej pośpieszyłem na ulicę Zamkową. Spojrzałem w górę — okna jej były oświetlone. Przesadziłem kratę, przeskoczyłem ogródek. Z okna jej pokoju zwieszał się klucz. Zerwałem sznurek, otworzyłem drzwi wejściowe i śpiesznie pobiegłem po schodach na drugie piętro. Drzwi jej nie były zamknięte; siedziała nawpół ubrana na łóżku.



Wzrok jej był niesamowity, przestraszony i nieufny. Zdawało mi się, że śni z otwartemi oczyma. I zapewne, by ten sen zatrzymać, zamknęła oczy. Szybko przyskoczyłem do niej, jedno słowo, jedno tchnienie: spała.

Ja jednak trzymałem ją w swych ramionach przez całą cudną noc.

I następną noc i jeszcze następną — — jedenaście cudnych, baśniowo pięknych nocy — — —

10 sierpnia miała odjechać. Miała się spotkać jeszcze w Baden-Baden z ciotką i stryjem, którzy wracali również. Później miała wyjechać do Genui,

a stamtąd do ojczyzny na okręcie „Alster“. — Nie chciała, bym jej towarzyszył do Baden-Baden, gdzie miała pozostać jeszcze dwa dni. Prosiłem ją, błagałem, by wróciła stamtąd jeszcze bodaj na jeden dzień, na kilka godzin. Ostatecznie rozkazałem jej to w hypnozie. Przyrzekła mi.

Do godziny siódmej rano byłem u niej. Następnie pośpieszyłem do domu, wziąłem kąpiel i przebrałem się. O dziewiątej odjeżdżała, przyniosłem jej na dworzec kwiaty.

— Do widzenia jutro wieczorem — zawołała.

Potem odjechała. Pożegnałem się z sędzią i jego żoną i włóczyłem się po ulicach.

I teraz zaczęło się. Kładło mi się to na piersiach, ściskało za gardło, wierciło kurczowo rozpalonymi palcami w mym mózgu i paliło oczy. Dręczyło mnie to, katowało nieprawdopodobnie.

— Mój Boże! Mój Boże!

Próbowałem się uspokoić: — Ba — ty — i sumienie?!

Lecz nie udawało się.

Musiałem mieć kogoś, ktoby mnie obronił przed samym sobą. Wskoczyłem do najbliższej dorożki i pojechałem do Karola.

Chwała Bogu zastałem go w domu! — Leżał jeszcze w łóżku; usiadłem na krawędzi.

— Cóż, chłopcze? — zapytał — wyglądasz okropnie! Cóż się stało?

— Opowiem ci już wszystko, mój drogi, zostaw mnie tylko w spokoju! — Wiesz przecież, że ją kocham?

— Kogóż to?

— Polomitę! — barania głowo!

— Hm — tak — na to wygląda!

— I wiesz, że ona kocha mnie również?

— Hm — tak — bardzo możliwe!

Opowiedziałem mu wszystko, wszystko, nie opuściłem najmniejszego szczegółu. Mówiłem mu, jak ją hypnotyzowałem, jak ją we śnie uwiodłem, jak bywałem u niej noc w noc.

Gdy skończyłem, spoglądałem na niego zdrętwiały. Zdawało mi się, że muszę usłyszeć z jego ust mój wyrok.

Pochrząkiwał przez chwilę. — Potem — powiedział wolno: — To pachnie kryminałem!

— Ba — kryminał — to mnie djabła obchodzi! Ale o jednem zapomniałeś, mój drogi, uczyniłem to wszystko, a przecież — kocham ją! I dlatego zdaje mi się, że oszaleję!

Potem zerwałem się, wybiegłem z pokoju do domu! I tu przeżyłem kilka godzin, o, Lili, tak okropnych, tak potwornych — — — — wiesz, Lili, zro-

zumiałem wtedy, co odczuwa morderca, gdy uświadomi sobie ohydę swego czynu!

O drugiej przyszedł Karol. Spostrzegłem go dopiero wówczas, gdy położył mi rękę na ramieniu.

— Chodź ze mną — powiedział — przejdziemy się.

Wyciągnął mnie prawie przemocą. Popołudniu wyjechaliśmy za miasto, wieczorem do jakiegoś kabaretu, później do restauracji.

Nie wspominaliśmy o tem ani jednem słowem.

Przyprowadził mnie do domu i został, póki nie położyłem się do łóżka. Następnie dał mi silny środek nasenny. Odszedł, gdy już spałem.

Gdy przebudziłem się, siedział na mojem łóżku.

— Nareszcie — zawołał. — Czekam już od godziny aż się obudzisz! Słuchaj — mówił dalej — zastanowiłem się nad tą historją, masz w tym wypadku tylko jedno wyjście! Powiadasz, że dziś wieczorem ona wraca? — A więc idź do niej i wyznaj jej wszystko!

Wzdrygnąłem się na tę myśl. Lecz czułem, że Karol ma słuszność.

— Czy chcesz to uczynić? — zapytał.

Przyrzekłem mu.

— O szóstej byłem na ulicy Zamkowej; Polomita powróciła już i powitała mnie gorącymi, pałającymi pocałunkami; ledwie zdołałem się uwolnić z jej uścisków.

— Polomito, zostaw mnie, muszę ci coś wyznać!

— A więc mów!

Ale jakoś nie szło mi. Biegałem, jak opętany po pokoju, nie mogłem tego wykształcić, nie mogłem. Ręce moje drżały i nerwowo szukały po kieszeniach. Na biurku leżał list, wziąłem go, podarłem na wiele kawałków i machinalnie wsunąłem do kieszeni. Chwytałem ołówki i obsadki — i łamałem wszystko na drobne kawałki.

Polomita przystąpiła do mnie:

— Mój kochany chłopcze!

Łzy trysnęły mi z oczu, zcałowywała je z mej twarzy pojedyńczo, łzę za łzą. A gdy chciała całować i moje usta — odsunąłem ją.

— Zostaw mnie, nie wiesz kogo całujesz! — Zostaw mnie — chcę wyznać ci — — — wszystko!

I powiedziałem jej o tem co uczyniłem, z zagryzionymi wargami i oczyma wbitemi w podłogę.

Skończyłem, lecz nie miałem odwagi podnieść na nią oczu.

W końcu przecież podniosłem je.

Wtedy ujrzałem na jej ustach uśmiech, taki osobliwy, taki dziwny — o, uśmiech taki djabelski — taki kokoci — — —

Ani sekundy nie pozostałem w pokoju. Wołała za mną: Janie! Najdroższy! Janie! Lecz nic nie było w stanie mnie zatrzymać.

W domu oczekiwał mnie Karol.

— No i cóż? — zapytał.

— Zrobiłem wszystko jak chciałeś, wyznałem jej wszystko, wszystko! A gdy skończyłem — — — śmiała się!

— I —?

— Śmiała się — powtarzam ci! — i tym uśmiechem powiedziała mi, że wiedziała o wszystkiem, że poprostu udawała, że okłamała mnie i oszukała w tak niegodny sposób, jak jeszcze nigdy dotąd żadna kobieta nie oszukała żadnego mężczyzny!

Zacisnąłem pięści w kieszeniach... Natrafiłem na skrawek papieru, kopertę i arkusz.

Był to list Polomity do pani Klary pisany wczoraj wieczorem z Baden-Baden.

— Czytaj ze mną, mój drogi.

Czytaliśmy:

Kochana Klaro!

Muszę ci spiesznie donieść radosną wiadomość. Nareszcie nastąpiło! Właśnie gdym dziś rano witała się z ciotką i wujem i szybko wbiegłam na schody, uczułam nagle gwałtowny ból. W pokoju moim spostrzegłam, że jestem cała we krwi. Tak więc obawy ostatnich ośmiu dni Bogu dzięki prysły! — Mam nadzieję, że mąż twój niczego dziś rano nie zauważył; Jan odszedł dopiero o siódmej, a w dodatku jeden stopień skrzypiał tak potwornie!

Gdy odjadę teraz, Klaro, nie wspominaj mnie źle. Tyś mi przecież tak wiernie dopomagała, chociaż często mnie łajałaś, Klareczko! Byłam przecież tak bezdennie lekkomyślną i moją dziewiczość, moją młodość podarowałam za krótkie szczęście kilku tygodni! Lecz ja go przecież tak bezgranicznie, tak niewymownie kochałam! — Nie gniewaj się na mnie bardzo, kochana Klareczko.

Do jutra wieczorem

Twoja *Polomita.*

P. S. Jeżeli spotkasz Jana, to ucałuj jego kochane oczy!

— Ona cię bardzo kocha! — powiedział Karol.

Nie wiem co odpowiedziałem. — Bądź zdrowa, Lili!

WAMPIR

Dramat z życia heter.

Długość: jeden kilometer
Serja druga:
„GNIEW GORGONY“
Dla młodzieży wstęp wzbroniony.



MIA MOJA — wróżka kina,
Z licem, jakby krużka wina,
W zbrodni, ludzi grzebie trzech,
Tak to cnotę trzebie grzech.



Lu najlepszy robi nastrój
Bije w cyrku sławnych gwiazd rój
Wszyscy patrzą w nią, jak w tęczę,
Gdy lwy skaczą przez obręcze.



Wnet w jej serce chyłkiem wlata,
Bob, wyborny akrobata,
Czarli Czaplin na trapezie
W mig zakochał się w domptezie.



Przysiągł miłość jej do grobu,
Więc mu dała, lecz nie bobu.
Bardzo lwy się dziwią oba:
Ma mieć baba bobo Boba...



Lecz Bob łamie miłość wszystką:
Zdradza ją — z ekwilibrystką!
Biada! Tak to — lubcie człeka!..
Niecny Bobie grób cię czeka!



Przykro spaść jest łapes capes,
Kiedy pęka pod kim trapez,
Zwłaszcza, gdy ten fakt omaszcza,
W dole lwa rozwarta paszcza.

BŁ. P.
BOB CYRKOWER
AKROBATA
zmarł w kwiecie wieku.

Nic wypuścił jeszcze z łap lin,
A już umarł biedny Czaplin.
Tak, że smutny ten wypadek,
Stał się jedną znów z zagadek.



Któż to siadł tam, pośród gości?
Garson! — Kat jej niewinności!
Lu klątw rzuca jednym tchem sto —
Teraz jesteś moją, zemsto!



— — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — —
W mig mu bilet śle do loży:

Przyjć pan dżisiaj, jak pan możу, z tyłu piersze dżwi — na prawo!

— — — — — — — — — — —
On przeczytał i rzekł:
BRAWO!
— — — — — — — — — — —



Dalej bieg nieszczęścia gładki,
Drzwi te wiodły do lwiej klatki.
Rano lwom niemiłym tonem,
Odbijało się garsonem.



Lu rwie kontrakt z Hagienbukiem,
Rzuca ten kraj bagien z hukiem,
Jeszcze wprzód rywalce — uch! —
Cztery kule prosto w brzuch.



Za nią w szale same ryki,
Przed nią dale Ameryki,
Bowiem zacząć chce od wtorku,
Nowe życie w Nowym Jorku.

Oto

KONIEC

II-giej serji.

Pełnej szaleństw i histerji.
Wkrótce dalsza „Serja trzecia" —
„WAMPIR" (dramat) —
— Clou stulecia.



Napisał

ROGER RÉGIS

Ktoś delikatnie zapukał do drzwi loży. Zza kotary wychyliła się różowa twarzyczka okolona aureolą jasnych włosów. Korzystając z ostatniej pauzy na przedstawieniu „Carmen“ Nelly Smithson odwiedziła swą przyjaciółkę Jacquelinę de Luc. Wysoka i szczupła, jak Jacquelina podobną była do niej z sylwetki. Lecz Amerykanka była żywą i swawolną, Jacquelina natomiast przedstawiała uosobienie powagi.

— Czy nie przeszkadzam Ci? — spytała Nelly całując panią de Luc.

— Widzisz, że jestem sama, jak to zresztą często bywa. Mąż mój nie chciał mi towarzyszyć. Przyszłam sama nie wiem poco...

— Tem lepiej. Będziemy mogły swobodnie porozmawiać!

Usiadła w głębi loży, i patrząc Jacquelinie w oczy zaczęła mówić:

— Dziwnie się wobec mnie ostatnio zachowujesz „*darling*“. Od pewnego czasu nie chcesz mnie już widywać. Unikasz mnie nawet gdy cię przypadkowo spotkamy. A ja tak bardzo cię lubię! Powiedz! Co masz mi do zarzucenia?

— Ależ nic moja droga.

Nelly uśmiechnęła się drwiąco:

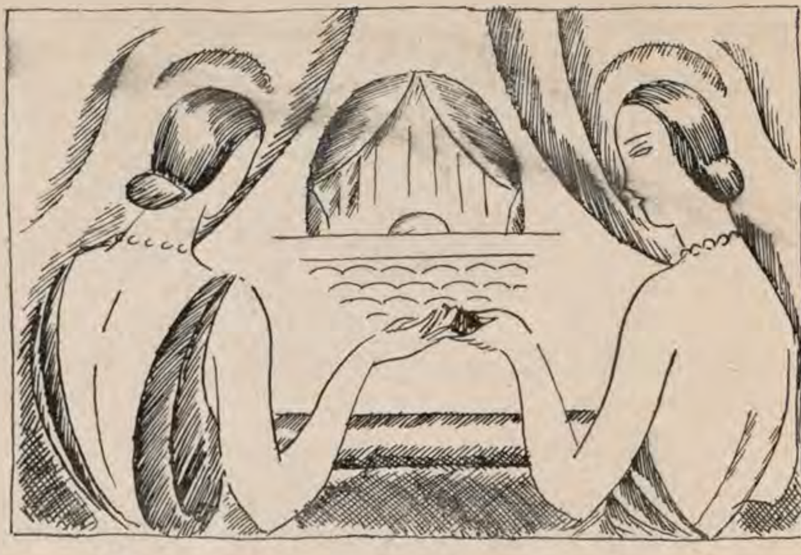
— Będę więc szczerszą od Ciebie. Krótko mówiąc, rzecz ma się tak: Twój mąż stara się o moje względy. Masz mi to za złe i jesteś zadrosną!

— Cóż to znowu za plotka, Nelly?

— To, plotka? — To, prawda, *darling*! Bądź również szczerą, jak ja, a zobaczysz, że pożegnamy się w najlepszej zgodzie.

Pani de Luc już się nie wypierała. Łzy zakręciły się jej w oczach, tak zabolało ją poruszenie tej bolesnej tajemnicy.

Przed kilkoma laty zgodziła się na małżeństwo z konwenansu. Kochając



Roberta de Luc, wyszła za niego, wyobrażając sobie, że po ślubie zdoła pozyskać jego wzajemność. Ale Robert, młody i niestały wkrótce powrócił do dawnych stosunków lub zaczął nawiązywać nowe. Inna na miejscu Jacqueliny umiałaby walczyć o swe prawa, pocieszyłaby się z kim innym. Jednak jej nie pozwalała na to duma. Kryła się ze łzami i swem wzgardzonem uczuciem. Starała się nie być zazdrosną. Wmawiała w siebie, że przestali dla siebie nawzajem istnieć. A jednak, jakąż przykrością było dla niej zetknięcie się z tą kobietą, którą posądzała o to, że zabrała jej męża?

Od jakiegoś czasu Robert de Luc aż zbyt widocznie starał się o względy pięknej Amerykanki. Dochodzące ją plotki, jeszcze utwierdziły ją w tych podejrzeniach. I ta kobieta śmiała przyjść i upokorzyć ją!

Opanowała się jednak i odpowiedziała:

— Słucham cię!

— Widzę, że jesteś rozsądną, *darling*. To wyjdzie ci tylko na dobrze! Przyznaję, że mąż twój stara się o me względy. Ale czyż to moja wina? Zresztą nie jest wyjątkiem. Jest jeszcze Richard Maurèvert, Jacques Mercier i wielu innych. Cóż począć skoro mężczyźni są tacy niemądrzy! Pan de Luc nie różni się pod tym względem od innych. Różni się tylko tem, że nie ustępuje, pomimo mej odmowy.

— Nelly — szepnęła Jacquelina boleśnie dotknięta tym wyznaniem.

— Uspokój się! Nigdy mu nie ulegnę! Przedewszystkiem nie kocham go, powtóre zaś, jesteś moją przyjaciółką. Ale i to zapewnienie może ci nie wystarczać, skoro mi nie wierzysz. Chcę więc posunąć sprawę jeszcze dalej!

Chcę byś była szczęśliwą... Nie przerywaj mi! Odgadłam powód twego smutku, wniknęłam może głębiej od ciebie samej w tajemnicę twego serca... Słuchaj! Ja, którą w tej chwili podejrzywasz o chęć przyczynienia ci przykrości, chcę ci dać możność odzyskania wiarołomnego.

— Proszę cię zamilcz!

— Jesteśmy przyjaciółkami, nieprawdaż? Możemy ze sobą mówić otwarcie. Robert zaniedbuje cię, ponieważ cię nie zna, ponieważ nigdy nie podejrzywał cię o tyle uczucia... Jakby to powiedzieć? O tyle temperamentu. Mimo pozorów chłodu masz duży temperament. Jeżeli twój mąż raz pozna twe zalety, odzyskasz go na nowo.

Pani de Luc schyliła blade czoło i wolno przesuwała perły naszyjnika, by łatwiej ukryć zmieszanie.

— Czy tak? — spytała Amerykanka.

— Może! — odpowiedziała Jacquelina.

— Dzięki mnie będziesz miała sposobność odzyskania swego szczęścia. Pan de Luc ośmielił się posłać mi bilet... Gdzież go zarzuciłam? Musiałam zostawić go w domu. Mniejsza o to. Mogę ci go dosłownie zacytować: „Będę panią oczekiwał dzisiaj wieczorem przed operą, dokąd wiem, że się pani uda. Wychodząc zawoła pani auto Nr. 407—97. By zmylić wszelkie podejrzenia, będę siedział na miejscu szofera; dla większej ostrożności włożę okulary i przyprawię sobie brodę. Z całą szybkością udamy się za miasto do willi, którą tam posiadam, i w której wszystko jest przygotowane na pani przyjście". Podpisane było: R... Co za łajdak, prawda? Ale biedak nie przypuszczał, jaki użytek zrobię z jego propozycji?

— Ciągle jeszcze nie wiem, co zamierzasz?...

— To takie proste! Jesteśmy tego samego wzrostu, *darling*. Masz płaszcz wieczorowy z kapturem. Jeżeli się dobrze otulisz, nikt cię nie pozna. Wychodząc zawołasz na auto Nr. 407—97. Prędko wskoczysz do środka i nie odezwiesz się, aż na miejscu. Daję na to głowę, że raz znalazłszy się w podobnej sytuacji z Twoją inteligencją i urodą wyjdziesz z tej awantury zwycięsko.

Jacquelina podniosła głowę. Jej oczy i policzki pałały.

— Jakaś ty dobra Nelly! — zawołała.

— Za dużo kobiet walczy ze sobą. Ja uważam, że powinny się łączyć przeciwko mężczyznom, których przecie w gruncie rzeczy nienawidzimy. Życzę ci szczęścia. Do widzenia.

Ostatni akt „Carmen" rozpoczął się. Nelly szybko wybiegła z loży.

* * *

W ciągu całego następnego tygodnia przyjaciółki nie spotkały się ze sobą ani razu. Zdziwiona i zaniepokojona Nelly, nie chcąc dłużej czekać, wybrała



się pierwsza z wizytą do pani de Luc. Wprowadzono ją do buduaru Jacqueliny. Zastała przyjaciółkę leżącą na otomanie i bardzo rozmarzoną. Ujrzawszy Amerykankę, wstała i zarumieniona rzuciła się jej w objęcia.

— O, *darling*, — zgadłam, jesteś szczęśliwą.

By lepiej ukryć zmieszanie Jacquelina nie podniosła czoła z ramienia przyjaciółki.

— Tak, jestem szczęśliwą!

— Prędko, opowiadaj, jak się to stało?

— Wstydzę się...

— Mam przecież prawo wiedzieć!

Wówczas, nie zmieniając pozycji, Jacquelina opowiadała:

— Postąpiłam według twych wskazówek. Zawołałam na auto Nr. 407—97. Pojechaliśmy do ślicznego powilonu przygotowanego na nasze przyjęcie, weszłam, po chwili zjawił się... szofer...

— Pan de Luc musiał być zdumionym, gdy cię poznał?

— Ja byłam zdumioną. Szoferem nie był mój mąż. To był Ryszard Mauzèvert...

Amerykanka, aż podskoczyła:

— Ja szalona, nie znałam pisma pana de Luc. Litera R wprowadziła mnie w błąd!... Palnęłam straszne głupstwo! Z pewnością zaraz wyszłaś, *darling*?

Jacquelina odpowiedziała szeptem:

— Nie. Zostałam...

Zapanowało długie milczenie. W końcu Nelly wybuchnęła śmiechem:

— Ha... Może to i lepiej — powiedziała w zamyśleniu.





Pobożna pani Doringny

Napisał

CLAUDE GODARD d'AUCOURT)*

Od jakiegoś czasu spotykałem często panią Doringny. Była to osoba uchodząca już od kilku lat za wzór pobożności, znana ze swych dobrodziejstw w całej okolicy. Jej też zawdzięczam, że mię zaprowadziła na świetne kazanie ojca Règnaulta, który zwykle odprawiał nabożeństwa w małym kościele na przedmieściu.

Raz po wieczerzy, na którą mię zaprosiła, zaczęła pani Doringny robić uwagi o znajomych mi paniach, i to w sposób wcale nieszlachetny.

Za to musiała ponieść karę!

Od tej chwili przestały mię zajmować jej piękne oczy, zapomniałem o całym uroku jej postaci. Z niechęcią patrzałem na jej kształtną rękę, którą w sposób pełen kokieterji dotykała rozmaitych przedmiotów.

Postanowiłem się zemścić, a zemsta ta miała ją tem boleśniej dotknąć, że pozbawiała panią Doringny wszystkich rozkoszy, dla których poświęcała swą pobożność i piękną pozę.

Pożegnawszy więc raz Le Doux'a, kazałem wieść się do pani Doringny.

Odźwierny nie chciał mię zameldować. Pani zapowiedziała, że nikogo nie przyjmuje. Kiedy jednakże nalegałem, poszedł wkońcu i pani Doringny przyjęła mię.

Wyszła na moje spotkanie w codziennej wprawdzie, lecz z bardzo pięknej materji zrobionej sukni, z angielskimi koronkami i takimiż manszetami. Twarz miała pełną spokoju i skupienia.

Lecz jakże szybko sądzonem mi było zmącić ten spokój!

---

*) *Claude Godard d'Aucourt* ur. 1716 w Langres, um. 1795 w Paryżu. Opowiadanie powyższe wyjęte jest z dzieła p. t. „Temidora czyli o mnie i o mej małej przyjaciółce".

W ręku trzymała piękna pani wielką książkę, oprawną w czarną skórę i prosiła mię, bym jej pozwolił pomodlić się jeszcze przez chwilę.

Chwila ta stała się dla mnie wiecznością. Czekałem jednak i zabijałem czas oglądaniem prawdziwie wytwornego urządzenia.

W międzyczasie ukończyła moja urocza nabożnisia swoje modły i spełniwszy tak zaszczytne obowiązki przeszła do mnie.

Rozmawialiśmy o teatrze, plotkach i towarzystwie, w którem obracaliśmy się oboje. Słuchanie tych nowin i swobodny ton rozmowy sprawiały jej widoczną przyjemność. Zdawało mi się, że całem swem zachowaniem chce zaznaczyć, że można być kobietą pobożną, a przytem piękną i pełną uroku. Potem mówiliśmy o miłostkach pani de Brépil, o pani de Salvey i o innych sprawach, o których w tym czasie właśnie opowiadano.

Wkońcu rozmowa zeszła na moje własne wybryki, a pani Doringny oświadczyła mi całkiem po przyjacielsku, że zbrodnią jest być tak ładnym, ponieważ tem wodzi się tylko kobiety na pokuszenie. To stało się już z panią Doringny. O tem mówiły mi jej oczy. Od tej chwili powinienem był tylko chcieć, a wszystko miało być potwierdzeniem tego, o czem myślałem.

Spojrzenia pięknej pani stały się jednem miłosnem wyznaniem, lecz mój surowy wzrok nie dopuszczał jej do wyznań.

Potem pytała piękna pani o książkę, o której podówczas wszędzie mówiono; powiedziałem, że ją posiadam, lecz jest pisaną tak swawolnie, że przerazi się zpewnością. Odpowiedzią tą zadowoliła się zrazu, potem jednak chciała wiedzieć, czy cała książka jest utrzymana w tym tonie. Są też rozdziały, rzekłem, któreby nawet dziecko mogło przeczytać. — W takim razie, te właśnie przejrzę — odparła. Muszę się przekonać sama, czy dzieło to jest naprawdę tak dobre, jak o niem mówią. Często bowiem ludzie bardzo przesadzają.

Przyrzekłem dać jej książkę następnego dnia, ale pani Doringny prosiła o nią jeszcze tegoż wieczora. Posłałem więc. Ze złośliwości zaś włożyłem w nią kilka sztychów, które były w stanie rozbudzić fantazję młodej wdowy, tembardziej, że tliły w niej jeszcze ognie namiętności.

Na drugi dzień poszedłem zaraz po posiedzeniu do pani Doringny, aby dowiedzieć się, jak podobała jej się książka. Otrzymałem całkiem niedwuznaczną odpowiedź. Pobożna pani oświadczyła mi, iż przeczytała wprawdzie tylko kilka stron lecz te zadowoliły ją w zupełności.

Nie dałem się jednak zmylić, zbyt dobrze bowiem znam kobiety i wiem, że nic ich nie powstrzyma, gdy wietrzą gdzieś rozkosz. Potem prosiła mię pani Doringny na obiad. Nie dałem się długo namawiać i odesłałem powóz.

Urocza gospodyni zakomunikowała mi, że będzie nam towarzyszył pewien bardzo mądry ksiądz. Właśnie nadchodził. Ale ten, którego poznałem potrafił chyba tylko się modlić. Może olśniewał swoją umysłowością w jakiemś tête-à-tête, lecz na nasze towarzystwo we troje nie starczyło mu jej.

Obiad pożywił żołądek i uradował serce; ach! — gdybym miał własny dom wziąłbym sobie tylko taką bogobojną gospodynią.

Przy naszych rozmowach z panią Doringny każdy trzeci był zbędny i wprost niemiły. Dlatego uwolniła się od poczciwego księdza w mądry sposób, posyłając go na przedmieście do chorych. Tak jednym zamachem stała się dobrodziejką i usunęła wszystko, coby nam stało na przeszkodzie.

Z pod chustki na szyji, wskutek niedbalstwa pięknej pani, czy też z braku ściegu ukazał się ząbek białego ciała. Zrobiłem jej przyjemną uwagę, na którą odpowiedziała rumieńcem. Mały bucik uciskał jej stopę. Zdjęła go.

Podniosłem bucik, przyczem nie mogłem powstrzymać się od okrzyku zachwytu na widok pięknej nóżki. Mała pani słuchała chętnie i tak przeszedłem wszystkie jej skarby; chwaliłem nogi, pierś, ręce i wkońcu całą postać.

Te hymny pochwalne składałem tylko po to, aby wykryć odpowiednie błędy w wyglądzie lub budowie innych pań z naszego towarzystwa. Cała moja namiętność była udana, lecz chciałem ukarać ten języczek, który potrafił tak przyganiać innym.

Po długiem ociąganiu się i serdecznem ucałowaniu ręki dotknąłem się jej twarzy i piersi. Zaczęła się bronić. Czerwone jej usteczka nie zgadzały się widocznie z tą obroną, bo przyjmowały chętnie namiętne pocałunki. Po pierwszym nastąpił drugi; ten zwykł już mniejszy znajdywać opór. Przygotowywałem się do ostatecznego ataku, podwoiłem więc oznaki mej namiętności, a odrzuciwszy wszelką obawę, biorę pełen złośliwych i skrytych myśli panią Doringny w ramiona. Podnoszę i niosę do drugiego pokoju na sofę. Tu padam na kolana i błagam o przebaczenie za wyrządzoną jej obrazę — o którą żadna kobieta jeszcze się nie obraziła. Znużona otwiera piękna pani oczy i znów ciężko opuszcza powieki. Wzdycha głęboko i mówi słabym głosem:

„Kochany panie, przeklinam siebie“.

Wtedy zwracam się ku drzwiom: „a ja uciekam“ — odpowiadam. Te ostre słowa przywróciły jej przytomność. Stała się wściekła. Złość zabłysła w jej oczach i oburzenie napełniło serce. Wstała, podeszła ku mnie i obsypała mnie gorzkimi wyrzutami. Nie mogłem otworzyć drzwi, były zamknięte na tajny zatrzask. Sytuacja była bez wyjścia. Odwróciłem się więc i udałem, że wszystko było żartem. A że nie chciała uwierzyć moim słowom i żądała zadośćuczynienia, popatrzyłem jej tak tkliwie w oczy, że wzruszyłem ją odrazu. Z pod powiek popłynęły jej łzy.

Któżby się oparł? Przystępuję znowu i biorę ją w ramiona i teraz po wylewach skruchy mogła poznać, jak przyjemnym był mój błąd i jak dobrze się stało, że go popełniłem. Dwie godziny z rzędu dawałem dowody mej skruchy i starałem się naprawić wyrządzoną jej krzywdę, kiedy zaś opuściłem panią Doringny otrzymałem jej zupełne przebaczenie.

Przełożył

PIOTR PAWEŁ FOUR



Piąta popołudniu

Napisał

LUCJAN KARSKI

Nikt z kolegów klubowych nie zauważył, gdy do hrabiego Lincourt podszedł baron Vitori i szepnął mu na ucho parę słów, poczem obaj, częstując się nawzajem papierosami wyszli do małego, stojącego przeważnie pustką gabineciku, przeznaczonego dla obrad poufnych.

— Daruj mi hrabio, że cię odwołałem, — zaczął baron, krępy i czerstwy mężczyzna, dobrze już szpakowaty, — korzystam jednak ze sposobności, że cię spotykam, chciałbym bowiem zamienić z tobą kilka słów w sprawie ściśle intymnej. Zastrzegam się, że z zasady nie mieszam się w niczyje sprawy prywatne i sam jestem na tym punkcie niezmiernie drażliwy. W danym wypadku występuję jednak nie w swojem imieniu i sądzę, że źle mnie nie zrozumiesz.

— Intrygujesz mnie doprawdy, baronie, — odpowiedział, wskazując mu fotel hrabia Lincourt, duży, barczysty mężczyzna, lat 40, o twarzy dobrodusznej i otwartej, o ruchach nieco niedźwiedziowatych i dyskretnej łysince. — Ten długi wstęp zapowiada najwidoczniej coś istotnie szczególnego. Czy sprawa dotyczy mnie osobiście?

— Nie nazywaj tego, hrabio, „sprawą", to brzmi zbyt poważnie. Chodzi poprostu o drobne zwrócenie uwagi, tak, jak to zresztą przyjęte jest między przyjaciółmi. — Wiesz, że baronostwo d'Estral mieszkają naprzeciw ciebie, okna wasze znajdują się vis à vis. Otóż, drogi hrabio, rozumiem, że ożeniłeś się niedawno i że, jako młody żonkoś, nie masz jeszcze ustalonych pór na obdarzanie oznakami miłości swej małżonki, wierzaj mi jednak, że w podobnych wypadkach należy być niezmiernie uważnym, baronostwo d'Estral mają w domu córki...

— Dalibóg nie rozumiem! Cóż w końcu mają córki barona d'Estral wspólnego z mojem małżeństwem i t. zw. miodowymi miesiącami, ponieważ o tem zdaje się chciałeś mówić, baronie, o ile cię zrozumiałem.

— Nic, gdybyś był bardziej uważnym i zapuszczał story. Ponieważ jednak o tem zapominasz, okna zaś twej sypialni wychodzą akurat naprzeciw okien panien d'Estral, rozumiesz sam...

— Ależ właśnie nie rozumiem! O ile wiem, story na noc są u mnie bardzo starannie zapuszczone.

— No tak, na noc oczywiście, ale skoro się ma twój temperament, nie należy zapominać o tem i w dzień.

— Ależ, drogi baronie, w dzień jestem zajęty i przeważnie niema mnie w domu.

— Nie przekonywuj mnie, hrabio, nie każesz mi chyba przestać wierzyć własnym oczom. Baron d'Estral wspominał mi już o tem kilkakrotnie, ale zawsze stawałem w twej obronie: ostatecznie przypadkowa nieuwaga może zdarzyć się każdemu. Ale wczoraj zaszedłem do niego w interesie o godzinie piątej popołudniu; nie mówiąc nic baron poprowadził mnie wprost do pokoju panieńskiego, którego okna, jak wspominałem, wychodzą nawprost twoich. Widziałem już w życiu różne rzeczy i wybrednością miłosnego menu mnie nie zadziwisz, chociaż, mówiąc między nami, nie posądzałem cię w tej dziedzinie o takie smakoszowstwo (baron poklepał przyjaźnie hrabiego po kolanie). Wyglądasz na człowieka znacznie mniej *pervers*. Przyznasz jednak, że ćwiczenia tego rodzaju nie nadają się bynajmniej do demonstrowania je przed młodymi panienkami. W tem się zupełnie z baronen d'Estral solidaryzuję.

Hrabia pokładał się ze śmiechu.

— Daruj, ale nie widzę w tem nic szczególnie zabawnego, — próbował oponować Vitorin. — Z punktu widzenia ojca rodziny...

— Ależ, drogi baronie, nie wyobrażasz sobie, jakie to naprawdę zabawne! Mylisz się w zupełności! Przysięgam ci słowem honoru, że o tej godzinie nie było mnie wcale w domu.



Słowa i myśli czyli *dwie prawdy*

Djalog małżeński z ilustracjami

Napisał MARJUSZ NOWINA

Ilustrował JACEK PETRY

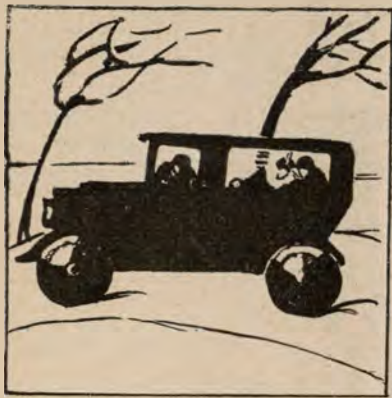


JERZY: Skąd wracasz, Lucyno?
LUCYNA: Poszłam do Hali omówić niedzielną kwestę...
JERZY: Dziwne, a Hala właśnie telefonowała do Ciebie...



LUCYNA: Przecież ci wyraźnie mówiłam „poszłam“ a nie „byłam u Hali“. Po drodze spotkałam się z Zośką.

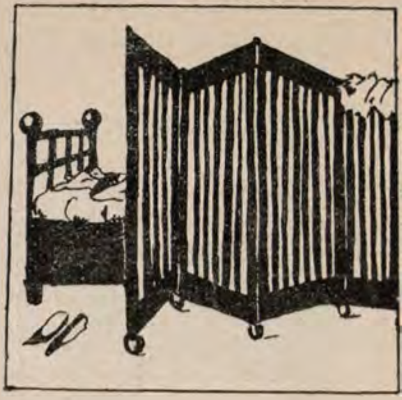
Ona już ma nową suknię!
Przypomniało mi to, że powinnam pójść do krawcowej!



JERZY: Hm...
LUCYNA: Ty zawsze wyjeżdżasz z niemądrem chrząkaniem. Powinieneś mnie pochwalić, że byłam tak oszczędną i udawszy się piechotą do niego...
JERZY: Do kogo?
LUCYNA: No, do magazynu „*Aux printemps*". Że też ty ciągle przerywasz. Gderasz i gadasz bez przestanku.



Nie masz pojęcia, jaka ta panna w magazynie niezgrabna. Guzdrała się koło mnie nieznośnie.



Przerzuciłam cały magazyn siedm razy,

JERZY: Wyobrażam sobie!

LUCYNA: Co ty sobie możesz wyobrazić? Co ładne to bardzo, bardzo drogie, a teraz ciężkie czasy. I nic nie kupiłam. Czy pochwalasz mnie?
Cóż milczysz?



JERZY: A gdzież twoja parasolka?

LUCYNA: Wpadła mi pod tramwaj.

JERZY: Dopiero co mówiłaś, żeś szła piechotą.

LUCYNA: Widzisz, potworze jeden, aby być oszczędną, wracałam piechotą, przestraszyłam się auta i, i... parasolka wleciała mi pod tramwaj. Ale ty mnie nie rozumiesz, ty mnie nie kochasz... *(płacze)*.



Diderot opowiada gdzieś taką historję ze swoich czasów: Pewien ojciec miał syna, którego pragnął wykształcić we wszystkich kierunkach. Rzekł więc do niego:

— Znasz już łacinę i grekę. Nieobca ci jest teologja, historja, heraldyka. Umiesz tańczyć. Brak ci jeszcze tylko znajomości życia. Tego nie nauczą w szkole. Masz tu zatem list. Pojedziesz do miasta i oddasz list osobiście damie, której nazwisko i adres wypisałem na kopercie. Ta dama posiada niesłychanie wiele wdzięku, dowcipu i doświadczenia. Proszę ją, aby okazała synowi te same względy, co niegdyś ojcu. Mam wszelkie powody żywić nadzieję, że wrócisz od niej skończonym *galantuomo*.

Syn wziął list i pojechał. Dama, której się przedstawił, oceniła go należycie i znalazła w nim upodobanie. Prosiła, by usiadł. Nie pozwoliła mu usiąść na taburecie, lecz obok siebie na niskiej sofie. Najpierw bawiła go rozmową, poczem zastosowała wszystkie te słodkie sposobiki, które służą do przełamania pierwszych lodów. Lecz nic nie potrafiło zmienić pełnej szacunku postawy młodzieńca. Ponieważ trwało to dość długo, dama postanowiła odegrać klasyczną scenę omdlenia.

— Ach, mój panie — wołała — umieram. Znów te przeklęte zapory. Prędko, prędko trzeba mi zdjąć gorset!

Młodzieniec skoczył, ale nie w kierunku upragnionym. Skoczył do dzwonka. Dzwonił, jak na pożar. Dama otworzyła oczy i ocknąwszy się z omdlenia rzekła:

— Ach, drogi panie! Czyż sądzi pan, że to, czego nie uczyniłeś, gdy byliśmy sami — uda ci się uczynić w obecności moich lokajów i pokojówek?...

* * *

Niejedną z naszych uroczych mężatek zaciekawi niewątpliwie problem, jaka kara oczekuje ją w życiu przyszłem za te najsłodsze grzechy życia doczesnego, po których żadna kobieta nie odczuwa wyrzutów sumienia. U jednego ze starych kronikarzy znajdujemy na to pytanie odpowiedź bardzo pocieszającą. Przytaczamy ją w całości w dosłownem jej brzmieniu:

POMNIEJSZE GRZECHY

— ...„A teraz opowiem wam, córki moje, taki przykład: Pewien rycerz, gdy mu trzecia żona umarła, wpadł w zadumę, jaki by mógł być los jego żon na tamtym świecie. Ponieważ bardzo chciał wiedzieć, poszedł do jednego świątobliwego pustelnika, który po długich prośbach i modłach objawił mu, że dwie są w piekle, a jedna w niebie. Zmartwił się srodze niedolą dwóch swoich towarzyszek i pytał dalej: jakież grzechy zgubiły tamte i jakaż cnota wyniosła jedną z nich do wiecznej szczęśliwości? „Te dwie, mój synu — odparł pustelnik — różowały się i kochały się w strojach bogatych. Ta zaś popełniła wprawdzie dziesięć lub dwanaście razy grzech, o którym tobie lepiej nie wiedzieć i różnym innym małoznaczącym folgowała poku-

som, lecz ponieważ wyspowiadała się na łożu śmierci, otrzymała tylko nieznaczną pokutę czyśćcową. Albowiem, jeśli nie zajdą inne okoliczności, dostaje się dusza za takie pomniejsze grzechy na siedem lat w ogień czyśćcowy, poczem sprawiedliwie dostępuje wiekuistej chwały".

[Enseignenens du Chevalier Geoffroi de la Tour-Landri à ses filles.]

* * *

Panie w „kwiecie wieku", w najszerszem tego słowa znaczeniu, uskażające się często na niestałość mężczyzn i krótkotrwałość ich afektów, wzruszy niewątpliwie i rozrzewni piękna i począjąca historja o rycerzu Villemain i jego 56-letniej bogdance, zachowana ku zawstydzeniu naszego pokolenia przez niedyskretnego kronikarza.

PAZNOKIEĆ RYCERZA Z VILLEMAIN

Rycerz Wincenty z Villemain był poetą. Oprócz tego miał żonę, nienazbyt piękną, ale miłej powierzchowności i anielskiego serca. Nie kochał jej, mimo, że wziął za nią 10.000 bitych złotych i jeszcze więcej w szatach kosztownych i wszelakiem ochędówstwie. Mówiono powszechnie, że ją bił nieraz. Albowiem miał damę, której przysiągł wierność. Damą jego była madonna Monika z Ossillon, kobieta zupełnie nieurodziwa i już niemłoda. Rycerz Wincenty bił się o nią na wszystkich turniejach. Z jej rozkazu chodził raz przez dwa miesiące z zamkniętem lewem okiem. Wysławiał ją w pieśniach, które budziły szczególny zachwyt wszędzie tam, gdzie nie znano madonny Moniki.

Razu jednego czemś ją tak obraził, że odmówiła mu rozkoszy wszelkiego ze sobą obcowania. Dwa lata trwał gniew nieprzebłagany. Wincenty z Villemain rozpaczał i słał poselstwo za poselstwem na zamek Ossillon, aby zmiękczyć serce swej damy. Nareszcie przyszła odpowiedź. Była taka: rycerz Wincenty ma sobie dać wyrwać paznokieć z serdecznego palca i przysłać go do zamku pani Moniki przez pięćdziesięciu zakochanych i wiernych rycerzy. Nie podobna jeszcze nic orzec, ale może wówczas znajdzie przebaczenie. Tegoż samego dnia chirurg zamkowy wyrwał rycerzewi z Villemain paznokieć z serdecznego palca.

W tydzień później w stronę zamku Ossillon zdążał wspaniały pochód. Pięćdziesięciu rycerzy, odznaczonych szarfami wiernej służby miłosnej, szło w najozdobniejszym rysztunku. Na głowach powiewały olbrzymie pióropusze strusie i pawie. W środku orszaku niósł jeden z rycerzy kosztowną szkatułkę, w której na poduszeczce aksamitnej leżał paznokieć Wincentego de Villemain. O kilka kroków za tym świetnym zastępem rycerstwa, postępował sam winowajca, skruszony, z obnażoną głową, w szatach pokutnych.

Pani Monika, widząc tyle wierności, po długich obrzędach, wróciła swemu rycerzowi serce, co go napełniło taką radością, że jeszcze tegoż wieczora ułożył pieśń, zaczynającą się od słów:

„Gdy z oćmy nocnej twarz słońca wybłyśnie..."

Pieśń tę podziwiano we wszystkich zamkach, szczególnie zaś tam, gdzie niewiadomo było, że pani Monika z Ossillon kończyła właśnie pięćdziesiąty szósty rok życia.

[Odnośne szczegóły podane u *St. Palaye*: „Mémoires sur l'ancienne chevalerie].

Okładkę 4-go numeru projektował TADEUSZ BUŁA

Redaktor naczelny: BRUNO JASIEŃSKI

REDAKCJA I ADMINISTRACJA CENTRALNA: Lwów, Zimorowicza 5. Telefon 13-13.
ODDZIAŁ w Warszawie: ul. Szpitalna 3, telefon 93—19.
PRZEDSTAWICIELSTWO w Krakowie: Zielona 28, II p.
KONTO CZEKOWE W P. K. O.: Tow. Wyd. „Ateneum" Nr. 152.683.

TREŚĆ

numeru 4-go

Ilustrują: ALICJA HALICKA, HARUNOBU, HOKUSAI, FRITZ KLEINMAN, KAZIMIERZ TOMOROWICZ, UTAMARO. — Okładkę projektował TADEUSZ BUŁA.

KUPON

I KONKURS

»WINNICY«

KUPON


LIQUEURS
MAISON FONDÈE EN
1782
J.A. BACZEWSKI
LWÓW